



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

FRYDERYK SZOPEN

Jako człowiek i artysta.

(Ciąg dalszy patrz Nr. 12).

Niemniej ruch żywotny Paryża oddziaływał silnie na niego. Idee, wypastowane przez ducha francuzkiego, a teraz czyniące sobie miejsce w praktyce narodowego istnienia Francji z jednej strony, w kierunku myśli i pojęć jej ogółu z drugiej, rozwijały w nim i budziły do życia siły drzemiące dotąd w jego głębi. Poczucie niezawisłości człowieka oddziaływało na jego poczucie niezawisłości artysty, niezawisłości natchnienia, które też pełniejszym, silniejszym strumieniem, zaczęło wzbierać w jego piersi. Ze obok tego znaczył tu wiele pełny już rozkwit człowieka, młodzieńca, jest rzeczą niewątpliwą. Jaką drogę była by sobie obrała jego siła twórcza i wykonawcza, gdyby był pozostał po za kołem tych wpływów? jest pytaniem bez celu. Że wyniósł z tej próby oddziaływań obcego świata najdoskonalszą samoistność swego talentu — dochował wiary motywom pierwszej swej twórczości już to odpowiada nam, że była to siła twórcza z bożej łaski, która z siebie tylko czerpie, a nawet to co się tu gwałtem z obcego świata wciśnie, na obraz i podobieństwo noszonego w piersiach ideału przetwarza. Pewien impuls, jak Nieck słusznie twierdzi, mógł mu być danym przez Liszta: jego energia, gorącość jego stylu, entuzjazm, uniwersalność i zdolność czerpania z wszelkich źródeł piękna i natchnienia, mogły a nawet musiały tu

coś znaczyć. Lecz były wpływy zobopólne: wpływy konieczne życia, w którym człowiek każdy coś bierze i coś daje. I oto biograf Liszta, Rammann, pisze z kolei o wpływie Szopena na Liszta, wykazuje w jego dziełach wpływów tych ślady. To, co niektórzy chcą widzieć w dziełach Szopena jako skutki oddziaływań Liszta, jako przejęcie się ogniem jego zapału, znajduje się właśnie, jak Nieck dowodzi datami, okres w utworach z tego życia Szopena, w którym znanymi sobie nie byli. Zresztą tak bogata organizacja jak Szopena nie potrzebowała się zapożyczać. Nawet schwytny ton jakiś obcy przerabiał on tak na własnego odczucia instrumente, że stawał się rdzennie oryginalnym jego dziełem i była to tylko myśl cudza, która tknęła struny jego harfy twórczej. Nieck wymienia dzieła Szopena pod takim jakoby oddziaływaniem obcem tworzone, wymienia oraz niemieckich krytyków z tego czasu, którzy niewątpliwie wszystkie dzieła Liszta znali, a którzy oryginalność Szopena podziwiając, niekiedy zastanawiali się z jak nowego źródła czerpane są wszystkie jego motywa? Źródłem tem była nasza ludowa piosenka, nasz ton, nasza jego modelacja. A jaką sławę zyskał sobie u tych nawet, którzy tej nowej w muzyce nuty nie polubili, świadczą o tem słowa przez Niecksa przytoczone, a w 1834 napisane przez Rellstaba, najnieprzyjemniejszego krytyka Szopena: „Spodziewać się możemy, że koncert (drugi, opus 21) usłyszemy w ciągu tej zimy, ponieważ stało się już obecnie zaszczytem dla pianisty grać Szopena“.

Takim był artysta a jakim stał się człowiek? Nietylko idealnie umiał on kochać — kochać gorąco, wiernie, szczerze. Interes własny, własny dobrobyt, potrzeba nawet zawsze się usuwała na stronę, przed interesem, potrzeba bliźnich. W 1834 r. na wiosnę miała się odbyć w Akwizgranie jakaś wielka uroczystość muzyczna, biesiada duchowa dla tych, któ-

rzy muzykę czuć i kochać umieli. Wybierał się i on z Hillerem, lecz nagle już niemal w chwili wyjazdu, cofnął słowo. Dla czego? Hiller nalegał, on milczał, aż naraz sięgnął po manuskrypt nut leżący na biurku, Es-Dur Walec (Opus 18) i zarzuciwszy na siebie okrycie wyszedł — udał się z tym, świeżo napisanym utworem swoim do wydawcy muzycznego Pleyel'a i wrócił wkrótce z 500 frankami w kieszeni. Mógł już teraz jechać jak wesoło oświadczył Hillerowi — mógł jechać, bo miał pieniądze na drogę. Złożone na ten cel poprzednio, jak wyznał koledze, rozeszły mu się niespodziewanie, a Hiller się dowiedział, że oddał je któremuś z biednych.

Hiller dodaje tu wesołą anegdotkę. W dalszym ciągu podróży udano się do Dusseldorfu. Szopen, jeszcze w mieście tym nieznanym, w towarzystwie Mendelsohna i Hillera na boku się trzymając, niczyjej uwagi nie zwracał i było tak wieczorem, gdy do domu jednego z tamtejszych muzyków zaproszeni zostali. W czasie rozmowy „biedny Szopen“ cicho siedział, ale miała wybić wkrótce jego godzina. Mendelsohn do fortepianu siadł, po nim zabrał miejsce Hiller, a gdy z kolei ci towarzysze Szopena gwałtem go tam popchnęli, gdy ręce na klawiszach położył i dźwięków kilka z nich wy dobył, całe towarzystwo, sławni muzycy, którzy tam byli, otoczyli fortepian, słuchając zadziwieni, wzruszeni — zach wyceni nakoniec! Hiller, który widać szczerzym, prawdziwszym niż Liszt przyjacielem Szopena był, pisze wesoło: „Z hrabiego Almariva wyłonił się grand i wszyscy oniemieli“.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg)

Do dom też szła — z dożynek, z dosiewek; na to życie, jak letni dzień pogodny, wieczór zachodził.

Ów szept — ze śpiewów echo konające — był żegnaniem, był pamiątką.

Pani rękę na głowie jej położyła — na powiekach chłodnych, poza którymi już nie teraźniejszość czarna żyła, ale przeszłość bujna i zdrowa.

— Nie ruszajcie jej teraz — niech tak zasypia! Nie trzeba już jej nic! — rzekła.

— Przetrzyjmy niedzielę? — szepnął Kalenik.

— Może!

Wstała pani i zakryła biedną — płachtą. A potem odedrzwi raz jeszcze spojrzęła, mało co widząc przez łyż.

A łyży te biegły nad ciemnotą tej chaty, nad nędzą tej doli, dla której ona nie miała ratunku.

Nazajutrz wczesnym rankiem poczęto dzwonić w kościele. Dobiegło to wołanie Kalenika przez ścianę Hucowej sieni.

Przecknął się i siadł na ławie.

Czyżby to już na mszę wołano? — a on zasnął. Ale nie: dzwony gadały inaczej, a na świecie ledwie szarzało.

Więc tak siedząc, wpółnagi, źle rozbudzony, począł te dźwięki rachować i drzeć na całym ciele. Nie mógł wstać, i nie mógł niczego innego pomyśleć, ino to liczenie, które źle umiał.

— Raz, dwa, trzy, pięć, siedm, jedenaście.

Dalej się mylił, więc znowu zaczynał.

— Raz, dwa, trzy, pięć, siedm, jedenaście.

Rachował, i rachował, aż mu się zdało, że o jego czaszkę dzwonią, i że go te udręczenia bolą, jak razy cepa czy obucha.

A wtem obudziła się Prytulanka w swej klitce, posłuchała, i poczęła, wstając, szeptać:

— Wiekowe spoczywanie słudze twojemu daj Boże — i w królestwie Twojem go uspokój! Amen, amen, amen!

Potem wyszła w sieni, a spostrzegając, że Kalenik nie śpi — rzekła:

— Pomarł ktoś — przeciw niedzieli. Zacznie komuś chata do jutra.

I wyszła. Zaskrzypiał zóraw u studni i głos Sylukowej się rozległ:

— Nie wytrzymała Łucysia.

— Mohel!

— Ale. Przed świtaniem doszła!

Znowu zóraw jęknął — a dzwony biły.

— To po niej dzwonią?

— Ale! Aż tu słyszeć jak stara zawodzi. Nie weźmie już jej Kalenik! Taki on mnie sądzony.

Prytulanka wróciła do chaty. Nie odezwała się wcale i zaczęła ogień rozkładać, raz wraz nos ocierając i oczy.

Dzwony przestały wołać.

Budzili się chatni wszyscy. Ruch się poczynał świąteczny — mycie, czesanie, oblekanie czyściej bielizny. W sieniach Kalenik wciąż siedział, jak senny, jak przepity.

A wtem we drzwiach stanęła Sylukowa. Szła jak do swego już — pewna, bezpieczna.

— Masz, gospodarzu mój, koszulę czystą. A zapuścił się ty, a czarnyś! Ot, oprzątnij się na ten sąd. Na tobie i na wódkę rubla! Dobrze nasza!

Śmiały się jej oczy, śmiały usta.

Objęła go za szyję i pogłaskała.

— Ciepły kwas mam w chacie! Chodź, głowę ci przyczese. A hody — drzemać!

Karpina wyjrzał z izby.

— Nie leż mu w oczy dzisiaj! — krzyknął. Będzie dosyć czasu potem. Żeby na jego miejscu był, tobym cię kijem pognał!

Idź do dyabła!

Kobieta zaśmiała się i pobiegła.

Kalenik wstał jak automat, popatrzał na koszulę, ale jej nie włożył.

Machinalnie postoly ozuł, ubrał się, czapkę na oczy nacisnął.

— Didu — ja pójdę! — rzekł do Huca.

— Idź — tylko się nie baw. Zaraz po mszy sprawa.

— Ale — sprawa! — zamruczał.

Makuszanek chata bez okien stała i drzwi. Deszcz jesienny zabijał do wnętrza wiatr przenikliwy, pod przyzbą parę desek leżało. Do pustego cebra zaglądała Krasia, a potem zgłodziła, przez okno wetknęła łeb, prosząc o śniadanie.

A pod tem oknem na ławce, jak do ślubu strojona, leżała Łucysia.

Krowa dotknęła jej twarzy, cofnęła się i zaryczała przeciągle.

Rozczesano dziewczynie włosy złote i włożono na nie wianek z barwinku i ruty — miała paciorki swe wszystkie na szyi i wszystkie wstążki. Żółte, wychudłe ręce założyli jej na piersi głuchej i pustej — krasny miała andarak, fartuch, nowe trzewiki.

Najbogatszej tak do ślubu nie ustrojają! Tylko miast korowaja, kaszy misę na te gody postawiono, miast świec weselnych płonąła gromnica w jej głowach, — zatknięta w czarce z grubego, mętnego szkła.

Kilka bab wdychało — jedne wchodziły, wychodziły drugie.

Całą izbę, podwórze, ulicę, napelniało zawođenje matki.

Był to niby płacz, niby śpiew obrzędowy.

— Zoreńko moja, lebedo moja! Ubrałaż ja ciebie, uczesała, położyła! Czegoż ty jeszcze chcesz, że tak milczysz, i nie dziękujesz, i nie kłaniasz się? Jaż tobie wyprawę dała, jaż tobie łożę usłała — jaż ciebie z chaty oddaję! — Tobie teraz o błogosławieństwo prosić trzeba — na swój byt jechać!

Jeszcze pobaw trochę. Jeszcze twoja komora nie zbita, jeszcze po ciebie wóz nie zajechał: pobaw trochę! Byłoby tobie w tej chacie ciepło, było tobie nie głodno. Nie krzywdził cię nikt — i teraz nie wyganiał. Twoja wola isć, twoja wola mnie rzucić.

Zabierzże mnie, doniu, serdeńko, nie rzucaj mnie doniu, zozulo. Taj — nie mów, że twoja komora ciasna, taj mnie miejsca nie szkoduj. Mieściły się my w jednej pościeli dotychczas. I nie mów mi, że na twoim wozie mnie nie zabiorą: piechotą cię nagonię, bo powoli pojedziesz — wołami — czarnemi!

Oj, czarne one, czarne, te woły, kiedy ciebie odemnie biorą! Oj! gorzkie twoje weselne napoje — oj, zimna twoja komora!

Idźże, doniu, ludziom się pokłoń. Niech ta zobaczą jaką wyhodowałam — jaką oddaję. Dał Bóg nagą i słabą, kruszynę jak muszkę — nie spała ja nad tobą, nie jadła, piersiami karmiła, sama głodna — odzież okryła, sama obdarta — nauczyła roboty wszelkiej — i ot — jaką oddaję. Taj powiedz ludziom, że ja ciebie nie biła, i nie lajała, powiedz — zaświadczył!

Bo i za cóż jaby ciebie biła? Taka ty słodka była jak miód, a dobra jak woda — taka ty cicha była i pracowita!

Żeby ty zła była, żeby ty leniwa była — możebyś nie szła teraz.

Pobaw się trochę — taj powiedz: czy tobie lepiej teraz, czy ty rada idziesz?

Było w tym jęku tyle grozy i tyle szalu boleści, że czuć było — jak w tej piersi — w tej głowie porwało się wiele strun — i dzwoniły fałszywie.

Kalenik czuł także, że i w nim coś pękło — i jakby w głowie lała się krew, a pod piersiami czyniła się próżnia i zimność okropna.

Chciało mu się gdzieś isć, isć — w jakieś błota, w piaski, żeby się zmęczyć, a zaszedłszy, gdzieby go nikt nie słyszał, — wyc i skomleć jak wilk.

Ludzie tak czasem chodzą — i podobno nawet skórą wileczą porastają. On takiego sam znał; uroki to były, jak mu się chata spaliła i cały dobytek i synek jedyny. Teraz parobek zrozumiał te uroki. Rwało go coś w haszcze, w łoży — w trzęsawiska — isć, isć!

A wtem ktoś go za ramię ujął.

— Chodź — już pora! — rzekł Karpina Huc.

— Bat'ko już poszedł — a ot twój rubel ze dworu! Biegnij żywo!

Ouczył się nieco Kalenik i raźniej ruszył. Napędził starego na drodze — poszli na mszę. Hubeniów nie było między pobożnymi.

Huc trącił parobka.

— Może oni w karczmie z sędziami! Chodźmy! Pieniądze na wódkę masz?

— Ale! — potwierdził Kalenik, w zaciśniętej dłoni, dławiąc zapracowanego rubla.

W karczmie pełno było gospodarzy. Siedział też cały zarząd gminy — i pił.

Szczerba najtrzeźwiejszy zauważył sam jeden wejście Huca z parobkiem i dziwnie się uśmiechnął, reszta wcale ich nie spostrzegła w tłoku i dymie, ani przerwała rozmowy.

Odrązu policzył stary Kornio siły przeciwników.

Wszyscy pili na koszt Sydora i powtarzali to, co on dowodził. Sacharko traktował sędziami, bułkami, żyd biegł jak w gorączce.

Z kąta, gdzie z Kalenikiem przykucnął — patrzył po nich Huc i, pykając fajkę, spluwał pod nogi.

Przed dwoma laty, gdy Chryna i Łazaruka wybierano na sędziów, byli to ludzie niebiedni, porządni i trzeźwi. Teraz gospodarka ich upadła, zaniedbana, i pijakami się stali z professyi; lekki był chleb i wolna wódka.

A sam starszy, wybrany dla bogactwa i rozgąlgzonej parenteli — zmienił się także. Ten nie pił i traktamentem pogardzał, ale ciężki był w interesie: pieczętki swej nie kopcił, ani głosu nie wydawał bez rubla: — pisarz zaś brał tylko trzy.

Przebąkiwano, że ci dwaj potentaci targowali gdzieś o mil parę — majątek. Tak siedząc i obserwując, Kornio wreszcie zeicha bąknął:

— Nie daj, Boże, pana z Iwana.

— Didu — trącił go Kalenik — czy słyszycie?

— Słyszę.

— Nu, oni przysięgać będą!

— Cyt'. Nie słuchaj pijanego szczekania! Ale pomimo to wstał i o róg pieca oparty zaczął na słowa większą mieć uwagę.

Sydor, obdarty, zbiedzony, był obrazem nieszczęścia i wyzysku, gdy perorował:

— Ino zważcie, ludkowie, jakie ja „skróś“ żywota nędzę miał. Porzucił mnie bat'ko z kaleką w chacie. Pańszczyznę ja za niego robił, i gwałty, i łtoci i szarwarki. Het — na dwoje się rozrywał. Wesele ja jemu sprawiłem! — Stare ludzie niech powiedzą czy kłamie.

— Prawdę „każe“! — kilka głosów się podniosło. — Radziwon ino brzuch paś, w chacie siedząc.

Tu nagle Huc głos podniósł i do starszego się zwrócił.

— Czy to w naszym siole teraz do karczmy kancelaryą przeniesli?

— Nie twój interes. Ty nie pośrednik. Gdzie nam wygodniej, tam gadamy.

— To i mnie wolno co rzec?

— A pewnie! — burknął starszyna.

— Nu, to ja powiem, że syn u ojca jednaki, i ten, co kaleka, i ten, co prosty. Radziwona ja znał: pola on nie robił, ale zarabiał dobry grosz, i pewno go nie przepijał. A chłopiec potem za niego i za siebie odsłużył!

— To niechaj chłopiec z bat'kiem się sądzi, że mu ziemi nie zostawił.

— Alboż ja jego krzywdy chcę! — płaczącym tonem rzekł Sydor. — Wyhodował ja gadzinę, kiedy on nademną litości niema, po sądach mnie włóczy — wstyd czyni. Nie bronie ja jemu, ni chaty, ni chleba. Pocóż on mojej nędzy się napiera?

— I pszczoły jak się dzielą — kaśliwe! — sentencyonalnie pijany Chrynu wyrzekł.

— A cóż to za krzywda, gdy kto swego docho-
dził — Huc się ozwał.

— Wypijcie, Kornio, czarke! — zaproponował
uprzejmie Sacharko.

— Nie trza mi twojej czarke, ani myśl, że mnie
do niepamięci doprowadzisz, jak tamtych!

— Słyszycie, ludzie? On gada, że wy pijani —
zaśmiał się Sacharko.

— Jemu każdy we wsi pijak, złodziej, albo
dureń! — rzekł Sydor.

Starszyzna zamruczała coś niechętnie.

Gwar ucichł. Poczuli się jakby nie swoi, zła-
pani. — Szczerba oknem wyjrzał.

— Ludzie ze mszy idą. Czas nam do roboty
— oznajmił.

Ruszyli się tedy, przyoblekając urzędową po-
wagę. Wkoło gminy czyniło się zbiegowisko
potrzebnych i niepotrzebnych. Tych, którzy
czuli się winnymi i gdzieś się zaszyli, odnajdywał
starosta z dziesiętnikami.

Urzędnicy ponakładali medale, obsiedli stół,
oddzielony od publiczności baryerą i rozpoczęły
się sądy.

Były sprawy różne, krótkie: — o pobicie, o kra-
dzież, o zaległe podatki. Piątą z rzędu była
Hubeniów.

Stancya zatłoczona była. Pomimo otwartych
drzwi brakło powietrza, taki swąd ją napelniał:
oddechów, dymu, tytoniu, świt przemokłych i za-
błoconych postoiów. Dalsi pchali się naprzód,
zduszeni rozdawali kułaki, łajano się bez ce-
remonii.

Ze ścisłu wystąpili tedy Sydor z Sacharkiem
i ze świadkami — a potem Kalenik z Hucem.

Parobek wyglądał nieprzytomnie. Oczy jego
wrażały przestraszczeni i obłęd i trząsał się cały.

Chryn zapytał go pierwszy — czego chce.

— To — o ziemię! Dwadzieścia lat ja na niej
robił, od siedmiu lat w pracę poszedł — wy-
jąkał.

— Cóż — wypędzają ciebie?

— Ale. Ojcowego, każą, niema!

— Nie! To czegoż ty chcesz?

— Żeby mnie przysądziło — co moje. Dziecko
małe stoi — a mnie, każą niema?

— Dureń ty. Ja tobie mówię, że stoisz!

— Jemu chodzi o to — co w prośbie podaliśmy,
wtrącił Huc. — On prosi, żeby mu oddano jego
dział: dwa zagony pola i połowę siedziby.

— Ale! — potwierdził śmielej Kalenik.

— Nu, a ty na to się zgadzasz, Sydor?

— Żeby prawda była, toby ja bez sądu oddał,
was panów radnych nie turbując. Ino, że nija-
kiej prawdy w jego gadaniu niema, na co ja
świadków przedstawię, którzy moje słowa po-
przysięgną.

— Tak jest, poprzysięgniemy! — rozległy się
głosy.

— Tak — mów!

— Jednym słowem powiem! Nie miał siły
ziemi trzymać nieboszczyk Radziwon, taj raz
mnie rzecze: — „Ożenił ty mnie, chlebem karmił,
w chacie trzymał, chrzciny dzieciom sprawiał,
taj żonkę moję pochował. Znaczy — i mnie
teraz rychło schowasz, bo mnie do ziemi
już ciągnie. Tak ja tobie to pole całe od-
daję i tych dwoje sierot po mnie. Hoduj ty
je — patrz — a jak dorosną, między ludzi wy-
praw. A te cztery zagony w wiek wieków niech
na ciebie idą“. — To powiedziawszy przy lu-
dziach — prędko zmarł, ale ludzi Bóg uchował,
na świadectwo mojej prawdy. Powiedz ty
Żurawel.

— Ale, ja słyssał te słowa!

— A ty Maxym?

— A jakże — prawda jego!

— Czemu nie rzekniecie: wódka jego! — krzy-
knął Huc. — Niema takiego ojca na świecie,
coby własne dzieci z pola spędzał, dla brata.

— Ty co wiesz o polu, kiedy i zagona nie
masz? Czego ty do nas się mieszasz! — burknął
Sydor.

— Mieszam się, bo siła przeciw temu chłopcu,
a nikt za nim. Pokażcie na papierze owe słowa
Radziwona, a odstąpię.

— Ludzka przysięga więcej warta!

— Milczcie! — krzyknął starszyzna. — Chłopiec
lata ma, sam za siebie niech gada — hadwokatów

nie trzeba. Słyssał ty, Kalenik — co diad'ko
mówi?

— Mutnia! — Tego bat'ko nie uczynił, i oni
sami wymyślili. Boh me! — Dwadzieścia lat ja
to pole robił. Jeśli bat'ko słaby był, ja za niego
odrobił. Mutnia tylko!

— Ty śmiesz nam kłamstwo zadawać! — krzy-
knął Żurawel. — Ja ciebie nauczę cudzych ludzi
sądzić.

A Sydor na kolana padł i, palce na krzyż kła-
dąc, wołał:

— Żeby ja tak z tego miejsca nie wstał, jak
to prawda jest. Bożeż mój Boże — na stare lata
takiego nieszczęścia dożył! Jaz jego hodował,
jak rodzzonego, a on mnie za to donaga chce
obedrzeć! — Zmiłujcie się nademną, ludzie — taj
nad dziatkami mojemil!

— Kiepstwo staremu się dzieje! — zaczęli lu-
dzie pomrukiwać!

Kalenik nic nie mówił. Nieruchomy, w gar-
ści swego rubla dławiąc, patrzył jak w obraz
w twarze sądu. Usta jego w półotwarte, i oczy
błędne wyrażały osłupienie, rozpacz i niemą
otchłań zwątpienia.

Ileby on powiedzieć miał, żeby mógł, żeby
go taki strach nie opadł, i takie zaleknienie
wobec tylu starszych, mądrych, potężnych.

Więc tylko patrzył, i czekał.

A sędziowie poradzili się cicho i Szczerba
rzekł:

— To przysięgaj, Żurawel.

Żurawel przysięgał. Z twarzy Kalenika ustę-
powała krew. Nagłym ruchem swiętą swą roz-
chylił.

— To kiedy ich prawda, pocóż oni mnie za-
rznać chcieli! — rzekł glucho — bok swój, ledwie
zgojony, pokazując.

— A świadka na to masz? — krzyknął Sydor.

— Kiryków nóż świadek.

— Ty sam nóż ukradł, żeby mego biednego
chłopca ogadać!

— To do sprawy nie należy, — pisarz się wtrą-
cił. — O pobicie, jeśli świadków masz, podawaj
osobno prośbę!

— Przysięgaj, Maxym! — starszyzna rozkazał.

Przysięgał Maxym.

— Zginęli my, didu! — szepnęła Kalenik.

— Zobaczymy koniec! — mruknął stary Huc —
Sędziowie poczęli między sobą szeptać.

— Mirem kończcie! — zaproponował Łazaruk. —
Pięciu was jest w chacie — na pięć części się po-
dzielcie! Weźmiesz piątą część, Kalenik!

— Jaką piątą? — Ja im nie brat rodny — ja z Sy-
dorem równy gospodarz! Połowa moja. — Mutnia
ta cała bajka — i grzech ich przysięgał Dwadzie-
ścia lat ja był, to i zostanę!

— Nu, — to nie chcesz?

— Nil!

Znowu sędziowie się naradzali, a potem pisarz
począł pisać.

Zrobiła się cisza. Wyciągali wszyscy szyje,
a Kalenik rękawem pot z twarzy otarł. Huc
tylko był spokojny, bo niczego dobrego od tego
sądu się nie spodziewał.

Nosowy głos pisarza przerwał milczenie. Ma-
łoco Kalenik słów rozumiał — huczały mu tylko.
Dopiero koniec wstrząsnął nim: „Pretensye Ka-
lenika Hubeni sąd odrzuca, i opłacić powinien
37¹/₂ kopiejek na kapitał mirski“...

Starszy u spodu dokumentu pieczętkę kro-
pnął — w izbie wrzawa powstała. Hubenie rzu-
cili się do drzwi.

— Zginął ja? — wyjąkał Kalenik.

— Nie bój się. Pójdziemy do zjazdu. Idź
tymczasem do domu, ja kopią wyroku wezmę! Nu,
łajdaki, — nu złodzieje!

Wypchnięto Kalenika za baryerę, tłok go wy-
pchnął na dwór.

Zewsząd opadły go drwiny i docinki, lub ostrza
krytyka starszych.

Zgarbiony poszedł ku wsi, wlokąc nogi jakby
mu trzydzieści lat przybyło. Tak słabym się czuł,
że stawał często i połą twarz z potu ocierał.

A w głowie ciągle jedna mu myśl wirowała:

— Zginął ja! Zginął ja!

Tak zaszedł do wsi, minął Huców chatę, minął
Hubeniów — sam nie wiedział kędy dążył.

Wreszcie na karczmę popatrzał, i wszedł.
Zmiętego rubla na stole położył, i chrypiąc
rzekł.

— Za całego! — i usiadł ciężko na ławie. Szary
październikowy dzień dobiegał końca. Drobnio-
tki deszczyk rozgrzeźił do gruntu ziemię, i wszyst-
ko: niebo, domy, ludzi, drzewa, pociągał mętym
tumanem.

Bydło głodne wracało, rycząc, do obór, i surmy
rozpoczęły wieczorny koncert. Jedna, dwie,
potem kilkanaście razem zaczęła swą monotonna,
minorową skargę. Karczma była pusta, i dla je-
dnego gościa nie zapalano światła. Siedział Ka-
lenik w kącie, i pił wódkę, jak wodę — dziwiąc się,
że go wcale nie upaja, tylko grzeje, i daje dzi-
wne siły!

Siedział tak może godzinę — może dwie. Za-
częli się ludzie schodzić, ten i ów go zaczęli, on
odpowiedzieć chciał, ale żadnego słowa nie pa-
miętał.

— Co jemu? — ktoś rzekł — jak nie człowiek pa-
trzy!

— Przystąpiło coś do niego!

— Nie rusz! Może się wściekł!

Został sam w kącie. Mało co wódki zostało
w garncu, już też i ludzi i nie widział. Zdało mu
się, że gdzieś idzie przez pustki, przez czahary —
a siłę czuł okropną.

Otworzono drzwi — wionął ku niemu chłód, i te
słowa, które nie wiedział kto mówił.

— Dajcie, Zundel, wódki kwartę — na kredyt.

— A na czyj?

— Makuszanki! Dla bab tych, co przy Łucy-
si nockę przesiedzą. Już i matka jak nieżywa
przy niej leży.

— Będą rano „chować“.

— Jak tylko trumnę zbiją.

Żyd dał wódki bez zastawu nawet, a chłopci po-
częli o dziewczynie mówić.

— Taki co szkoda to szkoda! Dobra dzie-
wczyna: byłaby komuś gospodyni, byłaby komuś
żonka. Bez pory śmierć wzięła.

Nizko, bardzo nizko opadła głowa Kalenika;
znagła ocieżyła, i bez dźwięku poczęły się wargi
ruszać.

— Łucy! Łucy! Moje złoto. Niema i cie-
bie, niema! Zginął ja, zginął!

Niepewną ręką po czarke sięgnął — i wypił. Jak
wielka burza wstępowały mu z głębi wszystkie
bóle i męki. Była ich moc, i wreszcie mieścić
się nie chciały. — Nie wiedział, gdzie on dawny
się podział — nie ten-ci był. Mękę nieznośną
ogniem zalewał, zmieniała się w szal.

Znowu drzwi się rozwarły, a na niego chłód
buchnął kłębem. Wszedł jakiś parobczak z we-
sela i ze śmiechem oznajmił:

— Ot, zabijają się u Hubeniów, jakby żyto
młócić!

— A któż?

— A to Hanę precz gonią!

— Przyszła?

— Ale. Wiadomo — jak wesele we wsi, a zi-
ma nadchodzi — to ona wraca, szelma! Żle tylko
dzisiaj trafiła. Pijani wszyscy po sądzie, a takie
to pyszne, że i nie przystępuj! Także ją biją a biją!

Kalenik wstał. Spojrzeli wszyscy na niego,
i ustąpili z drogi. On nie szedł, lecz sadił jak łos
przez błoto, przez ogrodzenie, na krzyk okropny,
który głużył i surmy i weselne wycia. Hanny
nie zobaczył. Zwalili się na nią wszyscy, bijąc,
kopiąc, obrzucając błotem. I słychać było:

— Do siebie ty przyszła — na ojcowskie: na,
tobie — na, tobie! Twoja ziemia — na, jedź ją,
jedź! Twoja chata: smakujże jej — używaj!

Kalenik kół z płotu jednym zamachem wyrwał
i, zanim go postrzegli, z sił całych w gromadę go
puścił.

Raz był wściekły. Zwinął się pod nim Kiryk,
tknięty w głowę, zapiszczał Sak — upadła Ta-
tiana.

A on już drugi porwał i Sacharka po nogach
poczęstował, a potem do Sydora dopadł i za gar-
dło go chwycił, pod nogi swoje rzucił, jak roba-
ka, wdeptał go w błoto.

Rozstąpili się wszyscy i tedy pokazała się w bło-
cie kupka szmat i ciała — nieruchoma: była to
Hanna.

Ale Kalenik jej nie widział swemi krwią nabiegłymi oczyma. Wpadł do sieni, siekierę chwycił, począł rozbijać czego dotknął. Zrobił się rumor okropny. Wyleciały z brzękiem wszystkie okna, waliły się sprzęty, lampka spadła na ziemię, i zagorzała szeroko nafta, w drzazgi poszła dzieża karmicielka.

Oprzytomnieli Hubenie i ruszyli gromadą na szaleńca. Rozpoczęła się bójka na pięści, w ciemnej izbie, w ciemności.

Kalenik żadnego dźwięku nie dobił z gardła, zgraja ta nie mogła mu podoląć, padali jak snopy, a on ich deptał, dławił, kasał.

Wtem stanął raptownie, jakby paraliżem tknięty, zachrapał, ocknął się—na podwórzu wyskoczył.

Kupka szmat i ciała leżała zawsze na temsamem miejscu. Trącił ją nogą—nie ruszyła się; dotknął—była zimna. Wtedy się wyprostował; wokoło krwawemi oczami popatrzał—po siedzi- bie, po chacie, po gumnie,—i nagle zawył, zaskowyczał, raz i drugi.

— Aauu—aaau!

Łyska łaszący się mu do nóg, odskoczył — i zajadle zaszczekał.

A parobek dłońmi się za gardło chwycił—i zaskowyczał raz jeszcze.

Po całej wsi odpowiedziały mu kundysy. Teraz szalenie dał sus dzikiego zwierza, przesadził płot—i na polu się znalazł. Z oddali raz jeszcze rozdrażnił psy wioskowe skowyt niby wilczy, potem wszystko ucichło.

W bród przez rzeczkę, przez piaski Kniaziołów w haszcze, w trzęsawiska, w łozy darło się coś—niby człowiek, niby zwierzę—i szło, szło bez celu, bez czucia—wyjąc czasem—nocy tej czarnej, strasznej—złowrogą pobudkę!

Listopad.

Jednego dnia pochowano Łucysię i Hanne, obie jak do ślubu strojne i obie „bez pory“—jak mówiono.

Pokończyły się też wesela, wybrano rekrutów, baby do przedzenia się wzięły.

Czarno było od nieba do ziemi, aż wreszcie począł śnieg padać i nagość tę wstrętą pokrywał całunem.

O Kaleniku wieść zginęła. Jeden tylko Iwan Żurawel przysięgał, że go widział, gdy po łożę jeździł.

Szerścią wilczą był porosły i na czterech nogach biegł, a oczy mu świeciły zielono: ujrzawszy parobka, zawył i uciekł.

Huce szukali go wszędy i ze dworu czyniono oblławę—bezsukutecznie.

Przepadł też bezpowrotnie jego termin apelacji: więc Huc sam od siebie prośbę posłał, nie dając sprawy za wygraną.

Pewnej nocy do chaty Czyruków przyszedł sąd—ów sąd, o którym Makuszanka mówiła.

Ze snu przecknął się znachor. Tychon go wołał jakimś zalękłym, tajemniczym szeptem.

— Bat'ku, ho, bat'ku!

— A co tam?

— Łucysia do mnie przyszła!

Stary siadł na pościeli.

— Co ty gadasz?

— Boh me—prawda. Nie widzieli wy?

— Co tobie się roil? Rozbudź się.

— Już nie śpię. Toż ja ją trzymał i pieścił.

Parobek mówił zupełnie trzeźwo, tylko trochę żywiej niż zwykle. Podniecony był widocznie.

— Będzie godzina jak przyszła. Zastukała do okna, i zawołała. Otworzył ja jej—taj mówię: Zkąd ty, toć ciebie schowali? Nie,—mówi—dla drugich schowali, a nie dla ciebie. Dla ciebie mnie pięknie ubrali, jak twój bat'ko chciał: nikomu nie będę, tylko tobie. To i przyszedł!

Wpuścił ją—do siebie ogrzał, bo zziębła była i tak godzinę ze mną zabawiła. Nie chciałem całkiem puszczać, ale do matki chciała się dowiedzieć i wrócić obiecała.

Znachor przerażony słuchał. Zapalił światło, i do syna podszedł. Nie spał i dziwnie świeciły mu oczy, zresztą żadnej choroby znaku nie było.

— Boli ciebie co?

— Nie. Rozbudził się tylko całkiem, i jakoś bardzo serce bije! Dziw, że wy nie słyszeli, jak my z sobą gadali.

Dobra ona teraz dla mnie, i lubi, lubi!

Stary nic nie odpowiedział, dał mu tylko czegoś się napić i spać przykazał.

Sam już się dorana nie położył, nasłuchując oddechu syna.

Dzień przyszedł, i minął jak inne. Tychon robotę swą robił, rozmawiał, śmiał się nawet, jadł co mu dano, o śnie nie wspominał.

Pod wieczór dopiero raz wraz w okno wyglądał, jakby czegoś czekał niecierpliwie.

Legli spać—znachor czuwał. Około północy ze zgrozą posłyszał szeptem prowadzoną rozmowę—monolog raczej, bo tej drugiej osoby, której Tychon odpowiadał, ni słysząc, ni widząc nie było.

— Nie bój się, bat'ko cię nie przepędził! Śpi on. Nie mówić mu o tobie? Dobrze! Słowa nie powiem. Ale ty w nocy przyjdiesz! Chłodnaś—ogrzej się. Kosy twoje deszcz przejął. Przytul się do mnie! Cisza potem zapanowała, a stary znachor jał zakłęcia mówić w myśli:

— Miesiąc na niebie, dąb w lesie, kamień w wodzie. Jak ci trzej bracia zbiorą się razem do jadła, napoju—wtedy niech umarli chodzą do żywych.

Godzinę, dwie to trwało, a potem znowu szept Tychona się rozległ:

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Marcu 1891 r.

Nierównem bywa kronikarza zadanie i żniwo, zwłaszcza w przyciszonym życiu naszej dzielnicy. Nieraz korespondent darmo sobie suszy głowę, darmo chwytając uchem wiadomości z pola myśli i czynu w zamiarze osnucia narazie zajmującej pogadanki. Powszednia jednostajność trosk i trudów nie dostarcza żadnego wyraźniejszego echa. ani też wybitniejszego tętna i odgłosu. Aż tu naraz, w jednej chwili tyle się zgromadzi wrażeń i zdarzeń, takie zakipi życie, tyle pojawi się odmian niespodzianych, iż nowy kłopot: co zrobić z tak obfitym materiałem, jakim szczegółom dać pierwszeństwo, które wiadomości wnieść w szczupłe ramy listu?

Jednocześnie obradował teraz w Poznaniu sejm prowincjonalny, Towarzystwo centralne gospodarskie, Kółka rolnicze, poszczególne spółki i związki—i oto w tychsamych dniach przyplęwu wiejskiego do stolicy, obywatelstwa i dorocznych zjazdów, nadeszły z Berlina postanowienia zmieniające rdzennie dotychczasowe rządy. Upadek ministra Gosslera, najstarszego spadkobiercy polityki wewnętrznej księcia Bismarcka, zwiastuje niezawodny zwrot kierunku, mianowicie pod względem szkolnictwa, o czym już zresztą cesarskie orędzie pierwszą przed kilkoma miesiącami przyniosło zapowiedź. Młody władca podpisem: *sic volo, sic jubeo* na portrecie ofiarowanym ministrowi wskazał, iż osobiście myśli kierować oświatą swego państwa, bismarkowskie porzucając szlaki. Nie sama atoli polityka miała spowodować upadek Gosslera. Nadmierny i nieroztropny pospiech, z jakim minister oświecenia rozgłosił światu wynalazek Kocha, przesadzając onego doniosłość i uprzedzając próby doświadczenia, wystawił naukę pruską na międzynarodową kompromitację, a to, oczywiście, musiało już i stanowisko Gosslera podkopać.

Opróżnioną tekę oddano dotychczasowemu naczelnemu prezesowi prowincji poznańskiej, hr. Zedlitz-Trütschlerowi. Naznaczony na następcę tego ostatniego baron Hugo Willamowitz-Möl-

lendorf, w zupełnie innych warunkach staje na czele zarządu. Hrabia Zedlitz przybywał do nas już w pomroce, a przybywał ze Szlązka, gdzie złożył był dowody germanizacyjnych zdolności. Mimo układnej życzliwości żelazną ręką przeprowadzał najostrzejsze rozporządzenia. *Suaviter in modo, fortiter in re* („łagodnie w sposobie, silnie w rzeczy samej“) — było jego hasłem. Nieboszczyk arcybiskup Dinder, acz Niemiec, upatrywał w hr. Zedlitzu najniebezpieczniejszego nieprzyjaciela Kościoła i kraju. Tymczasem baron Willamowitz zżył się oddawna z naszą prowincją, posiada w niej spory kawał ziemi, położonej w najżyźniejszej okolicy piastowskich Kujaw. Do niego to bowiem należy perła nadgoplańskiej gleby, owe Markowice, które w zamierzonych czasach jeszcze wywołały przysłowie zachowane w pamięci ludu i zbiorach drukowanych: „Kto ma Polanowice, Markowice, może mówić królowi: *amice* (przyjacielu!).”

Jest to tylko wariant innego przysłowia:

„Kto ma Chroberz, Pińczów, Szaniec, może iść z królową w taniec.”

Baron Willamowitz posiada znaczną przestrzeń owych bujnych, kujawskich łąnów, bo aż 3.400 hektarów. Urodzony w r. 1840, w dziedzicznych już Markowicach z rodziny na polu naukowych, filologicznych studyów dziś wslawionej, liczy obecnie lat pięćdziesiąt jeden. Studya gimnazyalne odbył w Bydgoszczy, uniwersyteckie zaś w Heidelbergu i Berlinie. Jako landrat powiatu inowrocławskiego od r. 1867 do 1875 odznaczył się sprawiedliwością i uwzględnianiem potrzeb miejscowych. Zrosły od urodzenia z naszą prowincją, zna on dokładnie jej ustrój, wie zkąd korzyści płynąć mogą, czego trzeba unikać lub co zapewnić miejscowej ludności. Przeciwnik ustaw ks. Bismarcka, przekonany z góry o bankructwie nieludzkiej polityki, która z granic naszej dzielnicy wyrzuciła 40.000 ludzi, aby wywołać słuszny a mściwy odwet ciężący podziśdzien na Niemcach. Baron Willamowitz rozpoczął swe urzędowanie od tego, że odmówił przewodniczenia Komisji kolonizacyjnej i jej milionom. Zdaje się zresztą, iż przekonano się o zawodnych skutkach osadnictwa i to, co pozostało ze stumilionowego kredytu, ma być obrócone na cele rolnicze i parcelacyjne w chwili nowego przełomu rolniczego, spowodowanego przez coraz groźniejsze wychodźstwo. Nic nam wszelako nie wróci strat i ruin w ciągu ostatnich lat nagromadzonych. Świeże sprawozdanie komisji kolonizacyjnej opiewa, iż w ciągu pięcioletniej działalności wykupiła ona już 50.000 hektarów ziemi, za cenę przeszło trzydziestu milionów marek. Zostaje ich tedy jeszcze siedemdziesiąt do zużytkowania po myśli nowych kierowników przedsięwzięcia zatracającego stopniowo swą polityczną skrajność. W minionym np. roku zrzekając się pierwotnych haseł, komisja nabyła trzy majątki niewielkie na subhastacyi. Zakupiono dotąd osmdziesiąt dwa majątki i trzydzieści dwa gospodarstwa chłopskie. Stosunkowo bardzo niewielka część tych nabytków została rozkolonizowana, większość po dziś dzień jest administrowana przez rząd, w sposób kosztowny a nieopłacający się dochodami. Wszakże kolonizacya nie daje nawet 3% od kapitału nakładowego, sami zaś osadnicy snadź nie robią bezwzględnie dobrego interessu na tak bardzo ułatwionem kupnie, skoro już dwanaście kolonii w inne przeszło ręce. To też prasa niemiecka sarka ustawicznie na niepomysłny obrót olbrzymiego przedsięwzięcia, które miało sprowadzić etnograficzną i plemienną zmianę w stosunkach prowincyi, bez narażenia państwa na straty i koszta wyłaniające się obecnie z rachunków. Przy sposobności dowiedzieliśmy się, iż wielka własność w żadnej prowincyi Prus nie jest tak znaczną jak w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. Znalazłoby się tedy pole otwarte do parcelacyjnych eksperymetów, gdyby od nich odsunięto wszelkie czynniki polityczne i nie tamowano z umysłu najbliższym warstwom ludności nabywania drobnych ziemi działów.

Piękne były tegoroczne obrady zjazdu gospodarskiego, pod przewodnictwem hr. Stefana Kwileckiego. Posiedzenia ogólne i wydziałowe ujawniły wielkie zajęcie się wszelkimi postępaniami

nauki rolnictwa i leśnictwa, oraz roztropne zagadnień społecznych roztrząsanie; acz to ostatnie raczej się na prywatnych przejawiało narażach. Nastąpiły rdzenne przemiany w zarządzie Towarzystwa, a mianowicie: na prezesa powołano niemal jednomyślnie najmłodszy z naszych młodych obywateli, hr. Stanisława Żółtowskiego, któremu nie dzisiaj dopiero przeznaczano ten wysoki urząd, w silnym przeczcuciu, iż energia jego i znanstwo pchnie nasze Towarzystwo rolnicze na nowe tory, pełne rodzajnego działania. Wnuk Andrzeja Zamoyskiego, zięć Adama Sapiehy, hr. Stanisław Żółtowski znajduje w domowej, rodzinnej tradycji wskazówki: jak przewodniczyć krajowej instytucji ku największemu spółziemian pożytkowi. Nowy prezes na własnym zagonie złożył zresztą dowody swej rolniczej umiejtności. Gospodarstwo w Niechanowie pod Gnieznem uchodzi za prawdziwą *model-farm* o szerokim zastosowaniu wszelkich sprzęzyn postępowego rolnictwa. A więc: pługi parowe, centryfugi mleczne, kolejki polne, produkcja buraków na wysoką skalę, hodowla bydła rogatego i nierogacizny — wszystko tu znaleźć można, i to w stopniu kвітającym ciąglem rozwoju i postępu. Powitano nader sympatycznie wybór nowego prezesa. Nic tak nie galwanizuje energii starszych już instytucji, jak gdy się odmładzanie przeprowadza od głowy i ster przechodzi w świeże ręce, pełne animuszu i odwagi. Nie ujmuje przeto zasługi starszym pracownikom; aleć wiek niosący z sobą doświadczenie przynosi i pewne rozczarowania i zmęczenie; niema więc nic korzystniejszego nad stawianie u steru młodszych sił, wprawiających w spotęgowany ruch czynności wszystkie kółka i kółeczka rozległej organizacyi.

Przytulone do Towarzystwa gospodarskiego, acz odeń niezależne, kółka rolnicze obradowały w tychże dniach marcowych, od lat tylu ożywiających gród Przemysławów napływem obywateli wiejskich i kmieci. Ośmnaście lat mija odkiedy ta dobroczynna i wysoko cywilizacyjna instytucja weszła w życie; dziś zaznacza się promiennie pod względem rozwoju tak dobrobytu jak i inteligencyi wśród naszych. Obecnie w naszej dzielnicy znajduje się do 160 kółek, o nierównej żywotności i działalności, zależnej przeważnie od dobrej woli i zaradności prezesa stojącego na czele każdego pojedynczego ogniska, opasującego dziś całe Księstwo łańcuchem wspólnych usiłowań i pracy. U steru tak rozgałęzionej dziś już instytucji stoi, jak dawniej, sędziwy jej założyciel, Maksymilian Jackowski, wytrwałością pocziwych zabiegów najpiękniejszego współpracownikom dzieła dostarczając przykładu.

Pomoc Naukowa naznaczyła już datę jubileuszowego święta. W dniu 28 Kwietnia b. r. zamierza obchodzić swe pięćdziesięciolecie, a tymczasem rośnie fundusz byłych stypendyatów z rzewną wdzięczności hojnością. Uchwalono wybić i medal pamiątkowy, a obrany w tym celu komitet nie przestaje się krzątać około stosownego urządzenia samej uroczystości jubileuszowej. Dawno żadna książka tak licznych nie zyskała prenumeratorów, jak zapowiedziana biografia Dra Karola Marcinkowskiego, którą obecnie wykończy Dr. Zielewicz, korzystając z chętnie mu dostarczanych materyałów. Nie omieszkać wam podać celu owego obchodu i obrachunków z półwiekowej, błogiej działalności, widocznej na najdalszych kresach ożywieniem inteligencyi i szlachetnych zabiegów.

Pełno znów dzienników na różnych powstało miejscach. Pisałem wam o gazetce olsztyńskiej, nowem czasopiśmie na Warmii. Obecnie i w samymże Gdańsku pojawiło się pismo peryodyczne polskie, a do licznej już prasy sząskiej przybyła gazeta opolska. Ruch przemysłowy i spółkowy coraz się bardziej w naszej dzielnicy ożywia, pod wpływem konieczności jednoczenia sił, oraz i zachęty, jaką daje pomyślny rozwój istniejących już dawniej związków, stowarzyszeń i spółek. Wszelkie z tej dziedziny sprawozdania ujawniają zbyt często zaprzeczany Polakom zmysł ładu i oszczędności; coraz też nowe zawiązują się przedsiębiorstwa, korporacje i towarzystwa.

Bank przemysłowców w tej chwili prawdziwe-

go doznaje osierocenia z powodu nagłego zgonu dyrektora Felixa Rakowskiego, który padł, jak żołnierz na posterunku, w chwili, gdy dorocznego walnemu zebraniu składał bilans z przeszłorocznej działalności, tej, już potężnej dziś, instytucji. Nagła jego śmierć w sali obrad rzuciła cień żałobny na zgromadzenie; niełatwo zresztą będzie podobnego znaleźć kierownika. Stał on na czele związku spółkowego w 1876 r., po krachu i klęsce, która zdawała się sama bytowi całej instytucji zagrażać; umiejtną ręką, nietylko szybko poniesione straty i rany zabliznił, ale niebawem potrafił podnieść spółkę poznańskich przemysłowców tak wysoko, iż stoi ona na czele wszystkich podobnych związków polskich pod panowaniem pruskim. On-to owo skromne przedsięwzięcie zamienił na Bank o rozległej działalności, a zostawił w najpiękniejszym stanie i porządku.

Wszystkie te objawy działalności i życia tem są pożądańsze w obecnej chwili, iż walka o byt potęguje konieczność wspólnej obrony. Czują to dobrze nasi rzemieślnicy, a że dotąd nie mieli oparcia i poparcia własnych, cechowych stowarzyszeń zarobkowych, zbyt często wpadali w zależność od spółek niemieckich, z których dziś wieje zaraza socjalizmu, które w podobnych też celach nieraz używają olbrzymich dochodów. Zdrowsza część naszych rzemieślników pragnie się wyswobodzić z tych pęt jakichś scentralizowanych, germańskich spółek, zakładając niepodległe korporacje, któreby się kierowały własnymi potrzebami i zasadami, nie przyjmując z obczyzny hasła przewrotu. Pięknym tym zamiarom przyklasnęła nasza prassa, ale mimo wielu dodatnich objawów, niepodobna nam się zaślepić na postępy socjalizmu nawet pośród nas, na niwie dotychczas opornej tym zarazem społecznym, które podkopują zachód. Objawy socjalistyczne, bądź co bądź, się mnożą, nawet wśród polskiego robotnika, występując sporadycznie, to jakim pojedynczym głosem, to ogólniejszą wrzawą. Dotąd jednak w tej całej agitacji widać tylko jakąś sztuczność, jakby coś narzuconego. Przewódzcy niemieckiego socjalizmu nie tają zresztą wcale swej żądzy ogarnięcia żywołów dotąd im mniej przychylnych i rozwijają też osobną agitacją wśród polskich robotników. Charakterystycznym jest jednak faktem, iż gdziekolwiek bywa zwoływaniem zebranie socjalistyczne przodują ludzie obcy, źle mówiący polsku. Gazety socjalistyczne w naszym wydawane języku pisane są zaledwie zrozumiałym stylem, germanizmami skażonym. Stały przy wyborach kandydat socjalistów polskich, Janiszewski, nie umie prawie po polsku. Ale nie darmo taran idei przewrotu bije w wały obronne sumienia i mózgu. Raz po raz coś się ukruszy z odwiecznej tamy społecznego porządku, a niezadowolenie wywołane przez świeżą ustawę o zabezpieczenie na starość, która przedewszystkiem rozwiązała dawny stosunek i zobowiązania chlebobawców i sług, upaństwowiając stopniowo wszelkie wzajemne węzły, niemało się przyczyni do utworzenia drogi zasadom przewrotu.

Piszę do was wśród nowej, a obecnie już peryodycznie wracającej, klęski powodziowej. W tym roku, mimo ogromnych śniegów, woda nie przysła tak gwałtownie ani rozlała się tak szeroko. Niemniej przeszło tysiąc rodzin w samym Poznaniu musiało opuścić mieszkania i na jakiś czas ustąpić miejsca falom Warty, miłosierdzie chrześcijańskie, municypalne zabiegi, usiłują nieść na razie pomoc nieszczęśliwym. Urządzono tanią kuchnię w pałacu arcybiskupim, i dobroczynność rozstawiła swe czaty na zagrożonych klęską punktach naszego miasta. Jest atoli coś strasznego w tem powracaniu powodzi co wiosna, oraz w przyczynach ruiny naszego grodu. Świadoma rzeczy inżyniera przypisuje stan ten tamom forteczny, zacieśniającym wpływ wody. Tak tedy militarizm wszystko u nas pochłania i na każdym kroku swą żelazną pracą nad nami cięży.

Blizka w Berlinie wystawa sztuki, w której osobno dział naszym malarzom ma być przyznany, oczywiście, niezmiernie nas zajmuje. Wpra-

wdzie Poznańskie nie wydało dotąd żadnego pierwszorzędnego talentu pendzla i dłuta, wszelako rozkwit podwawelskiej szkoły i u nas znajduje echo, a muzeum Przyjaciół Nauk niezawodnie stanowi ognisko kształcące wśród nas zmysł estetyczny. Gromadzące się tu grono uczone przybrało świeżo cały zastęp członków honorowych: z Warszawy prof. Ignacego Baranowskiego i Hoyerera, z Petersburga Mierzejewskiego i Spasowicza, zaprosiło pomiędzy siebie i cudzoziemców, jak: Virchow Pasteur, Lister i Koch. Pełno zajmujących odczytów i tej zimy urozmaicało posiedzeniu Przyjaciół Nauk. W ostatnich tygodniach z żywym zajęciem przysłuchiwało się jakby dopełnieniu *Pamiętników Paska*, przez p. Alexandra Kraushara. Wiadomo, że sympatyczną postać ulubieńca króla Jana wskrzesił i dał nam poznać wielki mecenas naszej literatury, Edward hr. Raczyński, wydając w Poznaniu niezrównane humorem i barwnością wspomnienia pana Jana Chryzostoma; ztąd też najszybciej wśród nas zyskał Pasek ową popularność, dziś tak szeroką i usprawiedliwioną. Urwanie się pamiętnika w najciekawszym momencie nie dawało spać wielu uczonym, a mianowicie Julianowi Bartoszewiczowi, — dotychczas napróżno. Dopiero p. Kraushar doszukał się odpowiednich materyałów, i to w aktach lubelskich trybunałów koronnych, gdzie się rozstrzygał zatarg Paska z margrabią Pińczowskim, Józefem Wielopolskim, a następnie i z Wolskim.

Podróż kapitana Grąbczewskiego po środkowej Azji wypełniła inne zebranie Przyjaciół nauk z tą ciekawością, którą budzi pokonanie trudności i odsłanianie tajemniczych ziem zakątków.

Śmierć Windthorsta obila się bolesnem wśród nas echem. Żałobne nabożeństwa dały wyraz po wszechnemu smutkowi. P. Józef Kościelski pięknym wierszem uczcił niezmordowanego, czujnego strażnika, którego teraz dopiero lży ludzkie już obudzić nie potrafią. Nie tu miejsce na hołdy; przypomnieć wszakże potrzeba to uznanie, jakie miał zawsze ów szermierz „Prawdy i Prawa przed siłą“ dla niewiast polskich. Niejednokrotnie wspaniałe im wystawiał świadectwa z trybuny parlamentarnej, a w życiu potocznem nie tał się z uwielbieniem dla naszych ziemianek. One też złożyły mu w dowód wdzięczności cenny upominek: Matkę Boską Częstochowską w szacownej oprawie, i przodowały w licznych owacych zgotowanych dzielnemu człowiekowi.

Dobra chwila pani Heleny.

Pani Helena spała długo i dobrze. Obudziła się w usposobieniu doskonałym. — Czuliła się świeżą, lekką, a ściślej mówiąc: nie czuliła się wcale. Żaden członek zmęczony lub bolący nie przypominał jej swej obecności, jak to bywa w chorobie. Nawet zęb, dokuczający jej od kilku dni, uspokoił się i znać o sobie nie dawał. Nawet migrena z lewej skroni ustąpiła i jakby rozplynęła się w powietrzu.

Pani Helena wzięła ze stolika ręczne zwierciadelko i przejrzała się w niem. W cieniu, padającym od atlasowej, ciemno-wisniowej zasłony, wszystkie rysy jej twarzy miały miękkość portretu pastelowego, a oczy rozszerzone i pogłębione łagodnie błyszczwały. Wydała się sama sobie ponętną.

Wczoraj, kładąc się do łóżka, zauważyła małą krosteczkę na czole; z krosteczki tej, posmarowanej zlekką *cold-cream'em*, nie pozostało dziś ani śladu. Usposobiło to panią Helenę bardzo dobrze, i z rozkosznym wyrazem twarzy przeciągnęła się na pościeli.

Nagle, nakształt ukłócia scyzorykiem, kolnęła ją myśl:

— A jednak mam już lat przeszło czterdzieści i syn mój jest młodzieńcem dojrzałym...

Skurczyła się jak wąż, na którego płynem palacym bryznięto, i pozostawała przez kilka chwil nieruchoma.

Ale rozweselił ją widok pogodnego nieba, które błękitem najczystszy wglądało przez okno do sypialni. Zadzwoiła na służącą i wstała.

Woda w wielkiej, porcelanowej miednicy była zimna — jak zwykle w Październiku. Pławił się jednak w niej promień słońca, czyniąc ją złotą, błyszczącą i w barwie przynajmniej ciepłą. W tym płynnym złocie zanurzyła ręce i twarz, doświadczając przyjemnych dreszczy, które ją z resztek snu wytrzeźwiły. Każde dotknięcie lodowatej wody do rozgrzanego w pościeli ciała, zdawało się jej iskrą elektryczną.

Ubięła się z pośpiechem. Jakieś wesołe, puste myśli, których dawno już nie miewała tańczyły jej po głowie. Sama też tańczyć chciała, lecz na samą myśl o tem śmiech ją porywał.

Znalazła na toalecie papierosa, pozostawionego przez męża. Zapaliła go, krztusząc się trochę, i wydmuchnęła kilka kłębow dymu, cisnęła do kąta. Nacierając skronie wodą kolońską, uczuła nieprzewycięzoną ochotę napicia się jej; przy pierwszej jednak kropli, gorzkiej i palącej, która jej język sparzyła, pokusa ją odbiegła.

Rozczesując włosy — a miała gęste jeszcze i długie — zasępiła się na chwilę na widok białego szronu siwizny, przyprószającego jej skronie. Zapanowała jednak prędko nad niezadowoleniem. Z uśmiechem chochlika unurzała puszek łabędzi w pudrze i białą chmurą przysypała całą głowę. Wszystkie włosy przybrały barwę jednolitą.

Słońce, które igrało na ścianach sypialni, rozpalając tęczowe blaski w kryształach, migocząc w srebrze i kładąc białe plamy na maleńkich, hebanowych sprzączkach, budziło w niej myśli coraz puściejsze i płochsze. Nazewnątrz utrzymywała powagę czterdziestoletniej mężatki, ale czuła, że w piersiach jej trzepoce się, nakształt ptaka, serduszeko podrastającego dopiero dziewczątka.

Uszczypnęła służącą w jędrny policzek; pieśkowi małemu nastąpiła umyślnie na ogonek, śmiejąc się do rozpuku, gdy z piskiem żalonym chował się pod łóżko; kanarka wypuściła z klatki i uganiała się za nim po całej komnacie...

Choć to był dzień powszedni, włożyła bardzo strojny szlafroczek i włosy utrefiła zalotnie. Nie zapomniała też umieścić w kieszonce chusteczki koronkowej, skropionej jakimś pachnącym wyciągiem. Potem, nucąc wesołą piosenczkę, skierowała się ku jadalni.

Przy suto zastawionym stole czekał już tam na nią mąż.

Zwrócony plecami do drzwi, czytał „Kuryera“ i palił cygaro.

Pani Helena, pożądana widocznie pieszczoty męzowskiej, podeszła do niego na palcach i nadstawiła pulchny policzek do pocałowania. Pocałował, ociągając się trochę, jakby nie rad temu, że mu czytanie przerwano.

Pani Helena spostrzegła to i lekko pobladła. Niema krwawszej zniewagi dla kobiety, nad odrzucenie pieszczoty, którą sama ofiaruje. Zaraz też, skrzywiwszy usta, rzekła:

— Powinienbyś mój kochany zdecydować się na jedno, i albo brodę zapuścić albo też golić ją częściej i staranniej...

— Dlaczego?

— Aby nie kłuć mi twarzy przy całowaniu.

— Mogę cię nie całować...

— A i owszem! Zrobiłbyś mi tem prawdziwą przyjemność...

Po tem maleńkiem starciu małżonkowie zabraли się do śniadania. Mąż pochłaniał z apetytem zimne mięsiwo, zakrapiając je winem białem i koniakami; żona poprzestała na filiżance kakao, które piła małemi łykami, milcząc i przyglądając się z pod oka mężowi.

Wydawał się jej dziś grubszym, starszym i pospolitszym, niż zwykle. Razła ją zwłaszcza jego łysa głowa. Dbając przedewszystkiem o wygodę, siedział on bez krawata, a nawet z rozpiętym kołnierzem u koszuli. Broda, źle ogolona a siwa już, wyglądała jakby ją cukrem miałkim posypano.

Pani Helena odwróciła wzrok od twarzy męzowskiej i skierowała go ku oknu, przez które widać było, skapaną w świetle słonecznym ulicę. Snuli się po niej strojni przechodnie, o twarzach uśmiechniętych i pogodnych. Kobiety wyglądały, jak królowe i lekkim pochyleniem głowy odpowiadały na głębokie ukłony młodych i przystojnych męzczyzn, którzy mijali je na chodniku.

Widok ten przywrócił myślom Heli wesołość.

— Świat taki piękny! — przemknęło jej przez głowę. — Czyż można zasłaniać go sobie dobrowolnie osobą jednego, brzydkiego męzczyzny?..

W tej chwili mąż, dopiwszy czarnej kawy, rzekł, odsuwając się z fotelem od stołu:

— *Je te demande pardon, ma chère...* dziś nie będę ci mógł towarzyszyć na przechadzkę... mam interesa na mieście...

— Uprzejmy jesteś — ani słowa! — odrzekła z ironją pani Helena.

Jednocześnie pomyślała:

— Tem lepiej — wybornie obędę się bez ciebie...

— Na obiedzie będziemy mieli gościa — dorzucił pan domu już w progu jadalni.

— Radcę czy prezesa? — spytała pani Helena obojętnie.

— Nie.

— W takim razie dyrektora?

— I to nie.

— Znalazłżebyś w swym repertoarze jakiś numer nowy?

— Znalazłem.

— O, to zaczyna być interesującym... I któż to taki?

— Dowiesz się przy stole.

— Więc to tajemnica?

— Niespodzianka.

— A! wszystko mi jedno!...

Ziewnęła lekko i wyszła.

W pół godziny później stała przed wielkim zwierciadłem, ubrana do wyjścia i przymierzała kolejno leżące przed nią kapelusze.

Jeden zwłaszcza, z jasno-niebieskiego aksamitu, z motylem wielkim na przodzie, po kilka razy kładziony był na głowę i zdejmowany. Widocznie namyślała się nad tem: czy jego barwa i kształt będą dla niej stosowne. Kapelusz ten przywiozła jej siostra z Paryża, ale od miesiąca już wisiał on w szafie ani razu nie używany.

— Szalona jesteś, siostruniu! — rzekła w pierwszej zaraz chwili. — Chcesz, żebym się ubierała jak młoda mężatka! Cóż-by świat na to powiedział!

Dziś zadawała sobie tożsamo pytanie, szukając na nie odpowiedzi w prawdomównym i szczerem aż do bezczelności zwierciadle. Odpowiedź zwierciadła musiała być przychylną, gdyż kapelusz, po raz piąty na spudrowanych włosach umieszczony, już nie został z nich zdjęty.

Pani Helena, świeża jak róża, woniejąca jak budoar aktorki i odmłodzona do niepoznania, wybiegła krokiem elastycznym na ulicę.

Zaraz przy wyjściu z bramy, owionął ją ciepły wiatr, niosący zapach świeżych jabłek, rezedy i dymu cygarowego. Wiatrowi temu nadstawiła twarz, niby pieszczotom ukochanego męzczyzny. Upajał on ją, jak słodkie a mocne wino...

Pierwsza para męzczyzn, którą spotkała na drodze, usunęła się przed nią z pełnym uszanowaniem pośpiechem — przyczem jeden z usuwających się, powiedział wyraźnie: „Co za oczy!“ a drugi z akcentem cudzoziemskim szepnął:

— *Chaaamante!*

Pani Helenie ciepła fala krwi uderzyła do twarzy, różowiac ją bardziej jeszcze. Przypomniała sobie, jak podobne uwagi dolatywały do jej ucha niegdyś — dawno już bardzo — na balach publicznych, a miłsze jej były, niż najpiękniejsza muzyka. Tylko że dawniej wzruszenie wywołane pochwałami temi uspokajał uścisk męzowski, a dziś...

Przypieszyła kroku, starając się myśleć o czem innym, ale jakieś echo psotne biegło w ślad za nią, szepcząc do lewego ucha:

— Co za oczy!... co za oczy!...

Przeglądała się mimowolnie we wszystkich

szybach sklepowych, i widziała się wszędzie: piękną, zgrabną, młodą...

Głośnie od szyb mówiły jej o tem oczy przechodniów. Męzczyźni patrzyli na nią wzrokiem rozplamionym i upartym; spojrzenie kobiet było przeszywające i niezycliwe.

Przed bramą Saskiego Ogrodu spotkała przyjaciółkę.

Przyjaciółka ta miała zwyczaj witać ją zawsze wykrzykiem:

— Ach, *ma mie*, jak prześlicznie dziś wyglądasz!

Tym razem objęła ją całą szybkim a podejrzliwym spojrzeniem i — nie nie wykrzyknęła.

Pani Helenie, znającej dobrze tajniki serc niewieścich, to milczenie kobiety większą sprawiło przyjemność, niż głośnie pochlebstwa męzczyzn.

Uśmiechnęła się w głębi duszy, i aby do reszty zgłębić przyjaciółkę, zawołała z zachwytem przesadnym:

— Ach, *ma mie*, jak prześlicznie dziś wyglądasz!..

— *Merci* — szepnęła tamta i uśmiechnęła się — a uśmiech jej podobny był do tego, jakim śmiał się dyabeł, gdy mu Twardowski „godzinki“ zaśpiewał.

W ogrodzie pełno było przechadzających się. Kobiety w jasnych sukniach i okryciach, snuły się pomiędzy drzewami, jak barwne motyle; męzczyźni uganiaли się za nimi, nakształt wielkich czarnych pajaków. Małe dziewczynki skakały przez obrycze, rzucając zalotne spojrzenia w stronę starszych panów, siedzących na ławkach; uczniowie przechadzali się z udaną powagą, wyprężając wązkie piersi i śmiejąc się suchym śmiechem, okazywać mającym zupełnie rozczarowanie. Czerwone kwiaty na klombach błyszczały jak krew, a kamień nagich posągów nabierał w słońcu pozorów żywego ciała. Ponad tem wszystkim wielkie kasztany rozpościerały złotawo-purpurowe namioty liści owiedłych, wskroś których przedzierał się tu i owdzie, płatami niekształtnymi, przeczysty błękit nieba.

Pani Helena wchłaniała w siebie wszystkimi porami urok cudnego dnia, pełnego blasków, barw, zapachów i jakiejś rozkosznej, rozmarzającej świąteczności. Krew szybkiej niż zwykle krążyła w jej żyłach, nerwy z nadzwyczajną wrażliwością odczuwały bodźce zewnętrzne, a każdy ze zmysłów stał się naraz czulszym, subtelniejszym, doskonalszym. Zdawało jej się, że mózg jej przez długi czas spoczywający w odrętwieniu, budzi się teraz i odsłania przed nią całe światy nowych wzruszeń i nowych rozkoszy...

I mimowoli pomyślała:

— Jeżeli młodością jest czuć żywo, pragnąć wiele, mieć serce płomienne i zmysły wrażliwe — jestem młodą, bardzo jeszcze młodą!

W tej chwili spostrzegła nadchodzącą ze strony przeciwnej panią Martę, kuzynkę męża.

Szła ona w towarzystwie nieznanego jej, a zgrabnego i wykwintnie ubranego młodzieńca.

Jedno błyskawiczne spojrzenie wystarczyło pani Helenie do stwierdzenia, że przyjaciółka ma nowy kapelusz i odświeżone okrycie, i że towarzyszy jej liczy najwyżej dwadzieścia dwa lata wieku, nosi brodkę rozdzieloną widłowo, ma prześliczne niebieskie oczy i całem obejściem się ujawnia, że jest skończonym światowcem.

Oczy przesłały natychmiast obraz ten sercu, a serce przyjęło go ze wzruszeniem, które było pół-rozkoszne a pół-bolesne...

Tymczasem tamci nadeszli i rozpoczęły się przywitania.

Podczas gdy przyjaciółki całowały się i mówiły sobie pochlebstwa, młodzieniec stał na stronie, z ręką przyłożoną do kapelusza.

Pani Helena, nie patrząc nań, czuła, że ją pożera oczami.

— Pozwól, droga *Ellen* — rzekła wreszcie pani Marta — że ci przedstawię, spragnionego poznania ciebie, pana Adolfa...

— Adolfa *tout court*? — spytała z uśmiechem pani Helena.

— Na nazwisko przyjdzie kolej później; tymczasem niech osoba jego mówi sama za siebie...

Młodzieniec skłonił się głęboko — tak jak margrabiowie zeszlowieczeni kłaniali się margrabi-

nom. A gdy wyprostował się i podniósł na pania Helenę oczy, błyszczały one jak dwie gwiazdy.

Pani Helena pomyślała: „Choćbym miała umrzeć, nie zarumienię się“ — i jednocześnie zarumieniła się jak wiśnia.

— Pan zapewne nie tutejszy — rzekła prędko, aby ukryć pomieszenie. — Nie spotykałam pana w towarzystwach...

— Wczoraj dopiero przybyłem z Paryża.

— Ach, z Paryża! To może pan...

Zacięła się, znów zarumieniła i dokończyła po dłuższym przestanku:

— ... był w Paryżu podczas ostatniej wystawy?

— Tak, pani; byłem.

Właściwie o co innego spytać go chciała. Na wzmiankę o Paryżu, obudziła się w niej przede wszystkim — matka, i pierwsze pytanie miało brzmieć:

— To może pan znał w Paryżu syna mego, który kończy tam kursa?

Ale w tejże samej chwili szepnęło jej coś: „nie przyznawaj się, że masz syna dwudziestoletniego“ — i skłamała własnej myśli i własnemu uczuciu.

— Dokąd szłaś, Ellen? — spytała pani Marta.

— Wyznać otwarcie?

— Naturalnie.

— Szłam bez celu.

— To tak samo, jak my!

Tu wtrącił się do rozmowy młodzieniec i pokazując w uśmiechu olśniewająco białe zęby, rzekł:

— Może złączywszy się razem, cel znajdziemy...

— W każdym razie nie zaszkodzi go poszukać

— dodała pani Helena ze znaczącym spojrzeniem.

Wszyscy troje weszli w główną aleję.

Pan Adolf znalazł się przy boku pani Heleny.

Zawiązała się rozmowa.

— Więc pan doprawdy pragnął mnie poznać?

— Od wczoraj o tem tylko myślę.

— Zkądże pochodzi to pragnienie?

Teraz młodzieniec zaciął się w odpowiedzi, jakby chciał ukryć powód rzeczywisty.

— Słyszałem o pani wiele dobrego — rzekł wreszcie, głos zniżając.

— Od kogo?

— Od jej przyjaciół.

— Od kogo mianowicie?

— Od... pani Marty.

Zapanowała chwila milczenia.

Pani Helena zauważyła, że mijające ich kobiety, starsze zwłaszcza, przyglądają się z niekłamnym zachwytem przystojnemu panu Adolfowi. Do kobiet tych i do ich zalotności uczyła głęboką odrazę...

— Chcę być szczerym... odezwał się młodzieniec głosem, w którym zadrgała serdeczność — szczerzym, niż na to przy pierwszym zapoznaniu się pozwala etykieta...

— Uwielbiam ludzi szczerych... szepnęła pani Helena.

— A etykieta?

— Pozbywam się jej zawsze z przyjemnością, jak... ciasnych rękawiczek.

— A więc powiem szczerze: nie od wczoraj już chciałem panią poznać...

— Chęć to zatem dawna?

— Tak prawie dawna, jak pierwsze przebudzenie się mego serca.

Tym razem wzruszenie objawiło się u pani Heleny nagłym pobleśnięciem.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— W Petersburgu zostanie wkrótce otwartą szkoła handlowa dla kobiet z wykształceniem gimnazjalnym. Nauka będzie bezpłatna.

— Donoszą z Petersburga, że departament

praw i ekonomii przystąpiwszy do roztrząsania ustawy aptekarskiej wziął pod rozwagę projekt do prawa o uczennicach aptekarskich. Dozwolone jest kobietom zdawanie egzaminów na stopnie prowizora oraz pomocnika aptekarskiego.

— W Moskwie otwarto wystawę ptaków.

— Na wystawie nasion w Muzeum Przemysłu otrzymała nagrody obok poprzednio wymienionych wystawczyń: hr. Marya Potulicka z Obór za nasiona buraków pastewnych i p. Ludgarda Piaseczyńska z Piotrkowa za wina owocowe i jabłecznik.

— Przy pierwszym tegorocznym zakupie dzieł sztuki przez komitet Tow. Zachęty Sztuk Pięknych z celem rozlosowania ich między członków, znajdowało się na czterdzieści pięć obrazów wybranych, sześć pendzla kobiecego: Gażyczowej Maryi „Głowa kobiety“, Bronisławy Łukomskiej „Martwa natura“, Emilii Dukczyńskiej „Pracownicy ziemi“, Zofii Stankiewiczówny „Jeziorko“, Maryi Braumanówny „Wieśniak“, Otylii Kraszewskiej „Poddasze“.

— P. Tekla Symonowiczówna z Wilna zebrała, jak D-r Dybowski doniósł redakcyi „Wszehświata“ bardzo piękny zielnik, za wierający rzadkie rośliny rosnące w okolicach Wilna. Zielnik ten skoro dopełnionym zostanie, posłuży twórczyni jego do opracowania flory okolic wileńskich, od dawnego czasu już niebadanej. P. Symonowiczówna pracuje w tym kierunku od lat kilku i zielnik jej wyświadcza nauce przyrodoznawstwa u nas niemałą usługę. Posiadamy obok niej dwie na polu botaniki pracujące kobiety: pp. M. Twardowską w Pińszczyźnie i M. Hemplównę w Sandomierskiem. Zajęcie się botaniką może wytworzyć dla kobiety na wsi zamieszkałej, nie tylko bardzo miłe, ale i bardzo korzystne czasu użytkowanie.

— P. Marya Przenocka przemawiała na posiedzeniu Warszaw. Towarzystwa Ogrodniczego w obronie wniosku p. Jankowskiego w sprawie przyznawania nagród za dobre prowadzenie ogrodów włościańskich. Pierwszy to raz kobieta odzywała się na zgromadzeniu Towarzystwa i przyjęła jej mowę oklaskami, na które zasłużyła niewątpliwie, popierając kwestyą znacznej wagi nie tylko w zakresie ogrodnictwa. Ogród i sad obok chaty to cywilizacja w chacie! Lud nie kształci się w sposób inny, niż wszystkie klasy społeczne; gdy w piersi ludzkiej rozwija się obok porządnego ładu życia poczucie piękności, to człowiek podnosi się nad poziom materialnych tylko potrzeb swoich — to krok pierwszy w kierunku pragnień idealnych. Jak miło, jak przyjemnie jest spojrzeć w Czechach na chatę włościanina przy której obok ogrodu warzywnego jest zawsze sadek owocowy i ogródeczek choć maleńki, grządka kwiecista. Tak jest i w Niemczech całych, a w pobliżu miast jest z tego dochód stosunkowo znaczny. Bukiety przywożone na targi miast, wdzięcznie mieszczące łąkowe, polne kwiaty i zioła obok ogrodowych sprzedają się bardzo kokrzystnie.

— Prawodawstwo francuzkie zajęło się uregulowaniem pracy kobiet fabrycznej, rękodzielniczej i w kopalniach, a nawet w pracowniach i warsztatach prywatnych. Objęto tu zarazem i pracę małoletnich. Dzieci wogóle nie mogą być zajęte pracą stałą w zakładach fabrycznych i pracowniach prywatnych przed rokiem życia 13-tym. W 12-tym wolno ich już używać do prac pewnych tylko w tym razie, gdy złożą świadectwo odbytej nauki w szkole elementarnej. Dziewczęta do 21-go roku życia (chłopcy do lat ośmiunastu) nie mogą pracować więcej nad godzin dziesięć dziennie; praca nocna jest im zupełnie zabroniona. Kobieta dojrzała nie może również pracować więcej nad godzin dziesięć dziennie; pracę nocną kobiet dopuszcza się tylko w razach wyjątkowych. Dla dopilnowania tych przepisów potrzeba powiększyć liczbę inspektorów fabrycznych, których jest obecnie 22 — więc za mało na ścisłą rzeczy kontrolę, — co przecież wywołało niechęć tak prawodawców, jak pracujących. Lękają się biedacy, aby zarobek nie został im przez to umniejszonym, lecz wskutek tego właśnie podnoszą się w prasie francuzkiej głosy, żądające ustanowienia inspektorek fabrycznych, czuwają-

cych nad materialnymi i moralnymi interesami robotnic, które mają prawo żądać od społeczeństwa opieki, odpowiadającej lepiej, niż obecna, ich potrzebom, co być nie może, dopóki wobec pracy dziecka i młodej dziewczyny nie będzie matron spełniających jakoby macierzyńskie obowiązki opieki.

— Wdowa po Schliemannie postanowiła prowadzić dalej rozpoczęte prace męża, mianowicie dokończyć wedle jego planu odkopalisk Troi. Widzi ona w tem przedsięwzięciu dokonania zamiarów zmarłego obowiązek swój i niedopuszczenie, aby coś ze sławy, którą mu to przyniosło, zostało uronione na korzyść osoby drugiej. Píše też w odezwie zamieszczonej w pismach swego kraju, że wszystko zostanie wykonanem najściślej według planu zmarłego, więc będzie to tylko akcją mechaniczną, której myśl jego przewodniczyć nie przestanie do końca. Obecnie wdowa zajęta jest pisaniem dokładnej biografii zmarłego, która wyjdzie w takiej tylko liczbie odbić, aby otrzymali ją przyjaciele nieboszczyka, oraz uczeni badacze starożytności greckich.

— Otwartą została w Helsingforsie szkoła gotowania, założona przez Annę Olsoni, która poprzednio zwiedziła Anglię i Szkocję dla zapoznania się z urządzeniem tamtejszych szkół w tym zakresie. Fröken Anna, naśladując zakłady szkockie, podzieliła szkołę swoją na dwa oddziały: nauki gotowania dla tych dziewcząt, które pragną zarabiać na życie jako kucharki, służące w domach klas wyższych, i dziewcząt, pracujących od lat bardzo młodych na zarobek poza domem, więc nieumiejących gotować wcale i nie znających się zarazem na gatunkach materyałów spożywczych. Opłata za naukę w oddziale pierwszym jest bardzo niewielka, w oddziale drugim zupełnie bezpłatna; przecież szkoła utrzymuje się o własnej sile, gdyż przyrządzone pożywienie jest rozsyłane stołownikom na miasto niemal po cenie kosztu materyałów z bardzo małym procentem na korzyść zakładu. Szkoła zarazem stołuje u siebie za skrupulatnie obliczoną zapłatę robotnice, co już samo przez się jest wysoką dobroczynnością, bo nie tylko pożywienie jest zdrowe i względnie do zapłaty obfite, ale stołowniczki znajdują je w izbach porządnym, w towarzystwie tylko kobiecym, w atmosferze fizycznie i moralnie zdrowej, przytem otrzymują je niejednokrotnie na kredyt, a dług może być następnie wyplacany w ratach możliwie najniższych.

Z bieżącej chwili.

— Petersburskie Towarzystwo Ochrony Zdrowia wydelegowało z łoną swego komisją do zbadania środków zwalczających suchoty. Obecnie komisja opracowuje program swego postępowania.

— Towarzystwo Techniczne w Petersburgu zamierza wysłać do różnych miejscowości w okolicach Petersburga majstrów instruktorów dla obznajmienia drobnych przemysłowców z ulepszonejmi środkami pracy.

— Komitet warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych ogłasza, że wedle regulaminu corocznych wystaw konkursowych, odbędzie się w Styczniu 1892 r. konkurs malarski, do którego kwalifikują się: obrazy olejne, akwarelle, miniatury, pastele, kartony i rysunki, wykonane w przeciągu trzech lat ostatnich, jeżeli nie były już wystawiane poprzednio, ani na wystawie Towarzystwa ani jakiej innej w Warszawie. Mają one być nadsyłane w ramach deklaracyi w formie zwykłej korespondencyi należy nadesłać do komitetu Towarzystwa przed d. 15 grudnia 1891 r. Dzieła same powinny być dostawione do lokalu Towarzystwa najpóźniej do d. 31 grudnia. Nagrody pieniężne są 600, 300 i 200 rs.

— Lutnia ogłosiła konkurs na napisanie utworu poetyckiego w formie ballady, który mógłby być użytym jako tekst do chóru na głosy męskie. Długość około wierszy czterdziestu. Prace najlepsze otrzymują nagrody w złocie w stosunku 20, 15 i 10 rs. Termin nadsyłania tych utworów pod adresem Towarzystwa (Warszawa, Resursa Obywatelska, „Lutnia“) do 1-go Maja.

— Groszowa Kassa Oszczędności przy ochronie Ś-tej Jadwigi za rogatkami Wolskimi została otwarta. Do ochrony (XXX) uczęszcza 88 dzieci. Kassa czynną będzie w każdą niedzielę od godz. 3-jej do 5-tej po południu.

— Rzeźbiarz Bronisław Holc, wykonał biust ś. p. ks. Adama Jakubowskiego, przeznaczając go bezinteresownie do użytkowania przez grono osób dobrej woli, zajmujące się uczczeniem pamięci zacnego kapłana.

— Wystawa kucharska ma być urządzona w Warszawie w połowie Październiku, obejmując działów trzy: spożywczy, kucharski i pomocniczy. W dziale ostatnim mieścić się mają wszelkie przedmioty i sprzęty kuchenne, naczynia, serwisy i bielizna stołowa. Urządzeniem wystawy zajmuje się cech kucharski. Trwanie wystawy dni trzy, następnie licytacja okazów.

— Doroczna posiedzenie wydziału tanich kuchni, wykazało, że pożyteczna ta instytucja rozwija się w mieście naszym bardzo pomyślnie i zyskuje sobie grunt o tyle trwały, że istnieć może bez doraźnej pomocy. Kuchnia N. 1 i N. 2 przynoszą już pewien dochód czysty, a dodać trzeba, że wydawane tam obiady są zdrowe i pożywne. Kuchnia N. 3 przy ulicy Czerniakowskiej, założona niedawno, nie procentuje tak dobrze i niedobory pokrywać potrzeba z summy zakładowej. Kuchnia N. 4, założona zostanie wkrótce przy biegu ulicy Twardej, Żelaznej i Chmielnej. Rok ubiegły dał ogólnie dochodu 50.819 rs. wykazał a niedobór 515 rs. Majątek instytucji wynosi 24.601 rs. W roku ubiegłym kuchni wydały 873.934 obiadów, jest to więcej o 22.000 niż w roku 1889.

W dniu 5 Kwietnia rozpoczynają się odczyty na dochód Osad Rolnych. W liczbie znanych na polu literatury i nauki prelegentów, przyjął udział p. Alfons Parczewski, adwokat z Kalisza, który mówić będzie o emigracji brazylijskiej.

— Szkoła rolnicza niższa, którą zakłada Tow. Osad Rolnych w dobrach Sobieszyńskich na folwarku Brzozowa, nakładem funduszu zapisanego na ten cel przez ś. p. hr. Kickiego, wkrótce będzie mogła zostać otwartą.

— Na wystawę berlińską wysłali ze Lwowa obrazy swoje artyści: Augustynowicz, Tad. Barącz, Marc. Harasimowicz, Lewandowski, Makarewicz, Batowski, Tad. Popiel, Mieczysław Reysner, Styka, Wiśniowski.

— Sprawozdanie doroczne galicyjskiej kassy oszczędności wykazało, że stan czynny przedstawia 23.114.705 zł. reń.: stan bierny 22.114.705 zł. reń.: wkłady wniosło 56 162 osób. Na cele użyteczności publicznej ofiarowano od 1884 roku, 235.691 zł. reń. Zysk czysty w roku ubiegłym przedstawiał 120.342 zł. reń., z czego przeznaczono: na fundusz rezerwowy 50.000 zł. reń., na dary dobroczynne 11.500 zł. reń., na budowę nowego gmachu, który wykończony będzie w roku bieżącym 446.652 zł. reń. Przed kilkoma laty Galicyjska kassa oszczędności ofiarowała pół mi-

liona zł. reń., na szkołę przemysłową i muzeum we Lwowie. Dyrektorem jest zacny Fran. Zima.

— W Zakopanem budują około 50 dworców. W Jaszczurówce, miejscowości odległej od Zakopanego o pół godziny drogi a posiadającej kąpiele ciepłe, buduje się hotel nowy: „Hotel Warszawski“, co łącznie z hotelem już istniejącym i poblizkimi willami przedstawia pomieszczenie wygodne dla 60 rodzin. W Zakopanem bawiło stale przez zimę blisko 70 osób.

— Towarzystwo Tatrzańskie otrzymało od wydziału krajowego 3.000 zł. reń. subwencji na wykończenie i uporządkowanie dróg w obrębie Zakopanego, z zastrzeżeniem, aby drogi wskazane przez prezesa Towarzystwa, hr. Wład. Koziebrodzkiego, były wykończone przed rozpoczęciem się tegorocznego sezonu.

— Obrady Towarzystwa Galicyjskiego we Lwowie rozpoczęły się według form właściwych. Subwencje rządowe wynosiły w roku sprawozdawczym 29.500 zł. reń.; subwencje te przeznaczone są na wykłady rolnicze dla włościan, rozdzielono je zaś w ten sposób, że dano Towarzystwu kółek Rolniczych 1.200 zł. reń., Towarzystwu Pszczolnictwa i Ogrodnictwa 490 zł. reń. na urządzenie wędrownych wykładów, nauczających uprawy i wyprawy lnu 290 zł. reń. Towarzystwo liczy 1.921 członków; przychód wynosił 135.053 zł. reń. i został wydany całkowicie w myśl ustawy: Uchwalono zwołanie ankiety w sprawie polepszenia chowu koni, zwłaszcza włościańskich.

— Telefon podmorski między Paryżem i Londynem został otwarty w czterdziestoletnią rocznicę zaprowadzenia telegrafów elektrycznych we Francji i w Belgii. Lina, łącząca stacją Paryż i stacją Londyn, ciągnie się osiemnaście

mil morskich dnem morza, cała zaś odległość Londynu od Paryża wynosi takichże mil morskich 280. Obecnie zapuszczono na dno kanału 15 lin telefonicznych.

OD WYDAWCY.

„Bluszc“ w bieżącym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszc“ dołącza się Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Cicha kobieta**, przez Autorkę powieści pod tytułem: „*Silny duch*“, przekład z niemieckiego.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYNY i HYGIENY POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

Józefa Starkmana

Zeszyt XXI-szy wyszedł z druku i zawiera między innymi: **Pragnienie, profesya, proszek do zębów, pryszczycyca, przeciążenie pracą, przeciwnilne, przedramię, przeludnienie, przepuklina, przetaczanie krwi, przetoka (fistula), przewietrzanie, przeziębienie i t. p.**

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincji nadsyłać po rs. 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płacących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9.50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda na wprost pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

TREŚĆ: Fryderyk Szopen, jako człowiek i artysta (dalszy ciąg). — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Korrespondencja zagraniczna (Poznańska). — Dobra chwila Pani Heleny. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy powieści, pod tytułem: **Cicha kobieta**, przez Autorkę powieści pod tytułem: „*Silny duch*“, przekład z niemieckiego. — Przegląd mód. — 26 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

PRZEGLĄD MÓD.

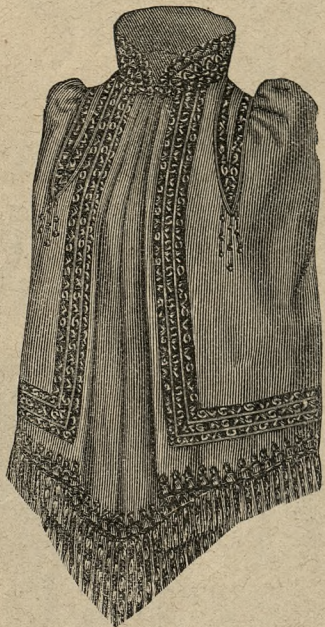
Zawsze jedno i to samo rok rocznie wiosna, głównie wiosna pod pióro nam podaje. Pan Herze przywiózł śliczne modele od Worth'a i innych; pan Makowski wybrał w Paryżu, co tylko fabryki paryzkie najpiękniejszego na sezon letni przygotowały i pokazał warszawiankom, aby wybierały co której do gustu, do twarzy a głównie do kieszeni dopasuje. I musimy przyznać panu Makowskiemu, że wybiera nie tylko owe drogie rzeczy przystępne bogatym, ale że najsłabszym z środków kobieta a jednak wykwintnego gustu znajdzie zawsze coś dla siebie do wybrania. Zaczniemy od kolorów: popielaty wpadający w odcień „électrique” i wszelkie odcienie lubianego koloru „beige” należą do najmodniejszych. Aby podnieść z upadku kolor czarny tak zarzucony w ostatnich kilku latach, fabryki francuskie przysłały śliczne grenadyny w kwiaty i rzuty haftowane kordonkiem na czarnym tle; niektóre z nich układem haftu i kolorem zachwycaly mnie.

Między mnóstwem innych zwykle z haftowanym przednim brytem i odpasowanym szlakiem do przybrania staniaka, w różne desenie jedna suknia była odrębną, haft w dole tworzyły bratki koloru jasnej miedzi, czyli jak dziś zwać chcą „fin du siècle,” w dole zaś pod haftem przechodził szlak jedwabny 20 cent. szer. tegoż koloru. Dalej wszelkie jedwabie fantazyjne, bo tylko takie sprowadzają dziś kupcy nasi z Paryża czy lżejsze czy

cięższe są na czarnem tle w rzucik kwiatków drobnych, gierani i fijołków, werbeny, drobnych listków różnego a różnego koloru. Mówiąc o materjach jedwabnych muszę tu otworzyć oczy paniom naszym, które szukają zawsze w oddalonych dzielnicach tańszych materji, gdy tymczasem pokazywane nam u pana Makowskiego prześliczne „faillé” w wymarzonych przez modę kolorach lokieć po... proszę zgadnąć, nie — nie zgadniecie, po... rs. 1 kop. 35 za lokieć. Tu już ustają wszelkie narzekania na drogość jedwabi. Tylko rzeczy fantazyji w jedwabiu sprowadzają się z Paryża. Zupełnie inaczej stoi kwestya co do wełny, w żadnym kraju takiej wełny nie wyrabiają jak we Francji, anglicy starają się, robią bardzo dobre wyroby w tym kierunku, przewyższające trwałością, nawet francuskie, ale nigdy miękkością ani kolorytem. Otóż jesteśmy przy materjach wełnianych, co za różnorodność w deseniach i w cenie. Na okrycia wiosenne, które nas przedewszystkiem dziś obchodzą są francuskie grube wełny zwane „côte-



Nr 1. Suknia dla panienki od 4—6 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 23—29).



Nr 2. Przednia część mantylki Nr 22.



Nr 4. Tylna część płaszczyka Nr 18.



Nr 3. Tylna część mantylki Nr 16.



Nr 5. Tylna część mantylki Nr 15.



Nr 6. Tylna część pelerynki Nr 19



Nr 7. Fartuszek dla panienki od 5 do 7 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 56).



Nr 8—11. Kapelusze letnie i przybrania kapeluszy. (Op. pierw. str. tabl.).



Nr 12—13. Wachlarz spacerowy ozdobiony kwiatami. (Opis odwr. str. tabl.).

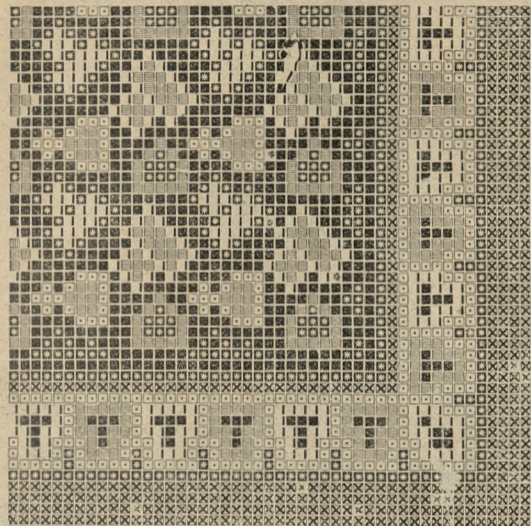


Nr 14. Peleryna z materiału wełnianego prążkowanego. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 54 i 55).
 Nr 15. Mantylka z jedwabnego repsu (do ryc. Nr 5). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 18 i 22.
 Nr 16. Mantylka z wigoni (do ryc. Nr 3). (Krój odwr. strona tablicy Nr VIII, fig. 44-49).
 Nr 17. Żakiet z przyszywanemi połami (do ryc. Nr 4 w Bl. Nr 15). Opis pierw. str. tabl.
 Nr 18. *Włosny dla starszej osoby.* (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 30-36).
 Nr 19. Pelerynka z sukna (do ryc. Nr 6). Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 50-53.
 Nr 20. Paltocik dla młodej osoby. (Kr. i opis pierw. strona tablicy Nr II, fig. 7-13).
 Nr 21. Płaszcz dla pani od 9-11 lat (do ryc. Nr 6 w Bl. Nr 15). Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 37-43).
 Nr 22. Mantylka z wigoni (do ryc. Nr 2).

M O D Y P R Y Z K I E.

cheval" w prążki, jak ongi jedwabne ottomany miękka gruba wełna we wszystkich możliwych kolorach; angielskie zaś grube w szerokie pasy lub drobiutką kratkę tak jak „vater-proff," nieprzemakalne duże kraty już zarzucone, zwracając się do pasków więcej, chociaż wszystko co gładkie zawsze najpraktyczniejsze.

Co do sukien, to oprócz pasowanych, haftowanych kordonkiem w cienie tła, pokazywano nam przesliczne wyroby francuskie. Najprzód ów grubszy materiał „côte-cheval," można równie dobrze użyć na śliczny ciepły wiosenny kostium z długą modną zakietką. Dalej przesliczne wełny jasne, bo przeważnie jasne się tylko nosić będą, zwane „boule" na jasnym tle rzucona kula, wielkości 4 groszy miedzianych, w jakimś ciemniejszym cieniu rozchodząca się na materyale do zupełnie jasnego, niby kula śniegu roztopiająca się, śliczny ten naturalnie francuski materiał był jeden z droższych. Dalej bardzo wabzące w użyciu i w cenie był tak zwane „crêpes-chiffon," materiał lżejszy kiprowany na podobieństwo krepy,



Nr 24. Deseń na poduszkę Nr 25. ■ Ciemno ponsowy, * ciemno oliwkowy, □ jasno oliwkowy, ■ żółty „okr," □ poziomkowy, ' niebieski.

znane już są wełniane krepy, ale nie takie miękkie i miłe. Dalej szły nieprzebrane gatunki tańsze przerabiane w paski, ale w jednym kolorze a w różnych cenach. W przyszłym przeglądzie powiemy coś o fasonach staników, których nigdzie dwóch jednakowych nie spotyka się, tyle jest w nich odmian, jak to uwidoczniają różnorodne ryciny pisma naszego. Dziś dodamy jeszcze coś o parasolkach, których wielki wybór przywiózł pan Makowski z Paryża, wszystkie są gładkie w niewyraźnych kolorach, niczem nieobszywane, z długimi rozlicznymi fasonami kijami, przybrane odmiennym jak dotąd noszone kwastem, a cena bardzo przystępna, bo o ile mnie pamięć nie myli, najdroższe więc i najładniejsze były po 9 i 10 rs.

Na zrobione pytanie, co mają panienki tak zwane podlotki nosić na chłodne dni wiosny za okrycie, odpowiadam. Zakietki pół-długie to jest zachodzące za biodra, wybierając między całym cieniem „bége" czyli piaskowym lub popielatym „électrique" wreszcie granatowym. Wyżej pisaliśmy o grubym materyale w kratkę drobną angielskim—a jest ich tyle do wyboru, które do każdej sukni mają zastowanie. Czarny kolor zostawmy dla starszych osób. Naturalnie, że długie płaszcze są tylko dla dorosłych osób, ale po za niemi są jeszcze śliczne krótkie pelerynki o 3 falbanach, które bardzo dobrze ubierają młode panienki i kto wie czy moda tych pelerynek nie ma tu najlepszego zastowania.

L. C.

Palcocik dla chłopczyka od 7—9 lat.

Rycina Nr 26 w Bl. Nr 13. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 48—51).

Po dopełnieniu złożenia fig. 49 i przydłużeniu stosownie do potrzeby i kroju w kierunku strzałki fig. 48 skrajając z an-

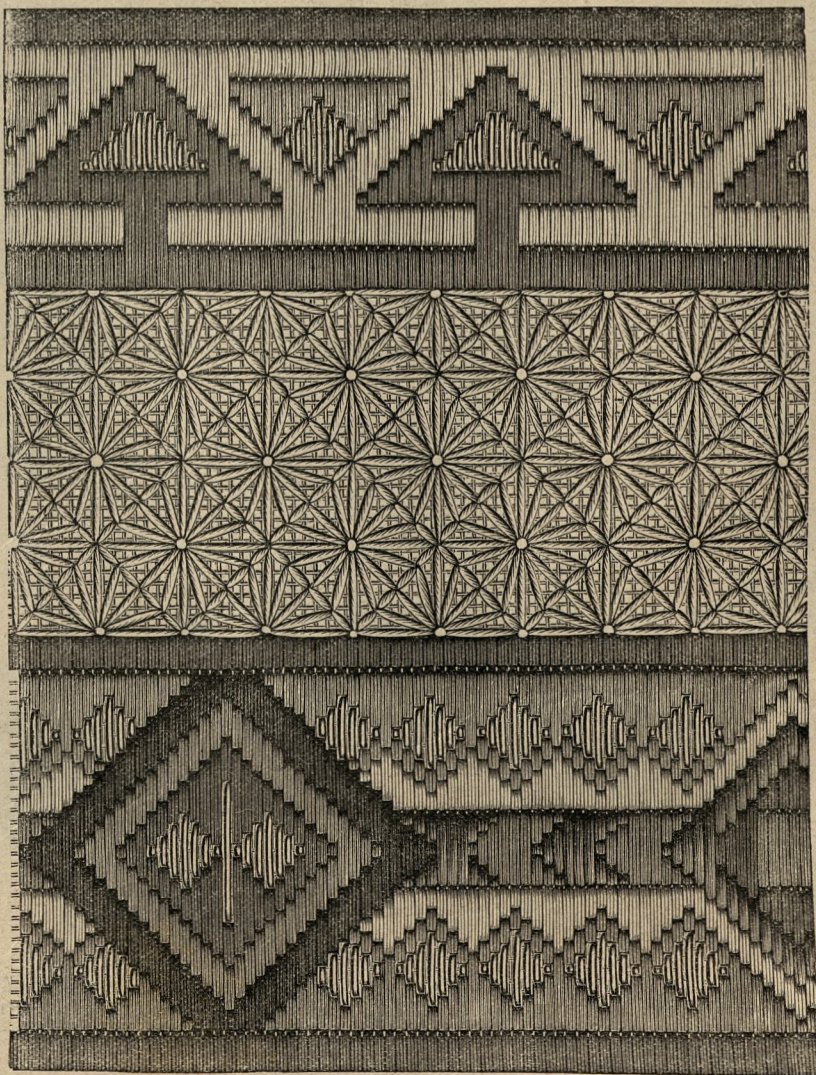
gielskiego grubego materyału fig. 48 i 49 po dwie części. Figury 50 jedną część złożoną wzdłuż środka i rękawy podług figury 51 z uwzględnieniem konturu spodnich części. Wykonać w przednich częściach szew od 45 do 46; w lewej przedniej części obydwie nacięcia, w prawej zaś, tylko dolne, wszyć kieszenie i klapki zaopatrzone podszewką 3 centymetrów szerokości w górze a 5 centymetrów w dole. Po zaopatrzeniu przednich części w górze przez całą szerokość a w dole na 3 centymetrów szerokości obłożyć takowe materyałem w górnym brzegu na 8 centymetrów szerokości, a w dolnym na 3 centymetrów szerokości, dalej zaś, jako też i plecy zaopatrzyć podszewką i zeszyć plecy od 49 do 50 a potem połączyć z przodami od 47 do 48 i od 51 do 52. Do lewej przedniej części przyszyć listwę z dziurkami a do prawej odpowiednią z guzikami. Po zaopatrzeniu kołnierza w podszewkę i podkład, wszyć w paltot od 54 do 49 i wyłożyć takowy razem z przednimi częściami wzdłuż linii zgięcia. Rękawy zaopatrzyć podszewką a w dolnym brzegu na 8 c. podkładem. Wystębnować kilkoma rzędami, zeszyć od 55 do 56 i od 57 do 58 i wszyć w paltot, trafiając w 58 na 58.

Płaszczek dla panienki od 5—7 lat.

Rycina Nr 28 i 29 w Bl. Nr 13. (Kr. pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 20—25).

Płaszczek z materyału wełnianego koloru piaskowego. Kołnierz klapki do rękawów i do kieszeni i przednia prawa część ozdobiona sutaszem koloru trochę ciemniejszego podług deseni fig. 25. Skrajając podług fig. 20 i 21 po dwie części, z uwzględnieniem przednich części do 20 części zmniejszonych, a które należy przydłużyć w kierunku strzałki. Podług fig. 23 i 24 po dwie części złożone wzdłuż środka,

przy fig. 23 uwzględniać dolny brzeg wierzchniego kołnierza a przy fig. 24 kontur spodnich części rękawa. Po przypasowaniu kieszeni 16 c. dł. a 12 wysokości i zaopatrzeniu takowych podkładem i podszewką zmarszczyć przednie części od wycięcia szyi aż do linii, jako też poniżej wcięcia pomiędzy dwoma liniami, na 4 cent. szer., zaopatrzyć takowe w przednim brzegu do poprzecznej linii muślinem



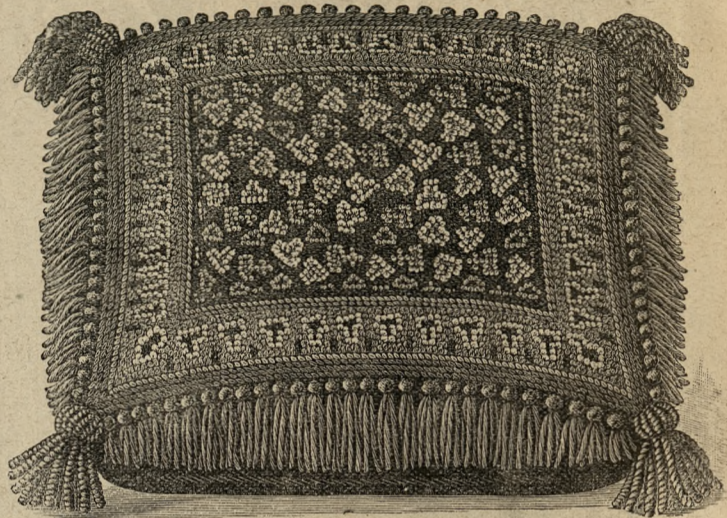
Nr 26. Haft (wielkość oryginalna).

i podszewką, przyszyć guziki do lewej części a odpowiednie dziurki wykonać w prawej i pokryć takowe szlakiem 6 c. szer. ozdobionym sutaszem. Fig. 22 skrajając z uwzględnieniem zmniejszonego kroju, zmarszczyć w górnym brzegu, przyszyć do pleców połączonych od 57 do 58 i wszyć pomiędzy przednie części podług cyfr. Potem przyfastrygować górny kołnierz zaopatrzone podkładem i podszewką do kołnierza spodniego i wszyć razem w płaszczyk od 57 do 61. Rękawy zeszyć od 62 do 63, zmarszczyć górny brzeg od * do *, dolny od † go † przyszyć mankieciki 21 c. szer. a 7 c. wys. zaopatrzone podkładem i podszewką i wszyć rękawy, trafiając na 63 w 63. Sznur zkwastami 170 c. długi wykończy całość podługrye.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Cąber cielecy na pieczyste.

Znany jest cąber sarni a nawet barani, ale cąber cielecy jest nowością (nie moją ale kucharza).



Nr 25. Poduszkę pod nogi ozdobiona haftem (do ryc. Nr 24).

Kazać wyciąć gruby cąber tak jak z barana, wyżyłować doskonale, naspikować gęsto cienką młodą słoniną jak zajaca, posmarować oliwą, nałożyć plasterami cebuli, parę listków bobkowych i angielskiego ziela, włożyć na głęboki podłużny półmisek i zalać szklanką wina francuskiego. Niech tak stoi 24 godzin. Z odpadków tej cieleciny ugotować glas, to jest gotować je w małej ilości wody z włoszczyzną, korzeniami, wygotowując do kwateryki płynu, w który wkrajając kawałek bulionu. Cąber na godzinę przed pieczeniem posolić, na brytfannie rozgrzać do rumianego koloru łyżkę masła, położyć cąber, zrumienić na wszystkie strony, co się dzieć powinno bardzo szybko i zaraz włożyć w wanienkę od ryb, polać owym glasem czyli bulionem, dokładając różnej krajanej włoszczyzny, tak dusić bez pokrywy dobre pół godziny. Gdy widać że już niesurowy wyjąć, sos precedzić, włożyć trufi lub pieczarek, poddusić je, cąber pokrajać na plasterki z obu stron, tak jak się podaje cąbry sarnie i polać na półmisku owym glasem, cedząc go przez rzadkie sito i wybierając pieczarki, żadnej mąki w sosie być nie powinno.

L. C.

Obiad na Niedziele

1. Rosół z jarzynami.
2. Potrawa z mózgow i drobiu na półmisku z sosem grzybowym.
3. Sztuka mięsa ze sosem grzybowym.
4. Groszek z grzankami.
5. Kapłon z sałatą świeżą.
6. Tort lub mazurki.

KORESPONDENCYA.

Odp. pani Cm. T.

Przepis żądany podam w najbliższym numerze gospodarczym naszego pisma. Jednak życze pani przejrzyć „Kurs gospodarstwa" mego, wydanie 2 rozdział V, gdzie dział ten jest bardzo obszernie traktowany i gdzie pani na wszelkie kwestye co do prania odpowiedź i naukę znajdzie.

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze służy też do N-ru 15.